

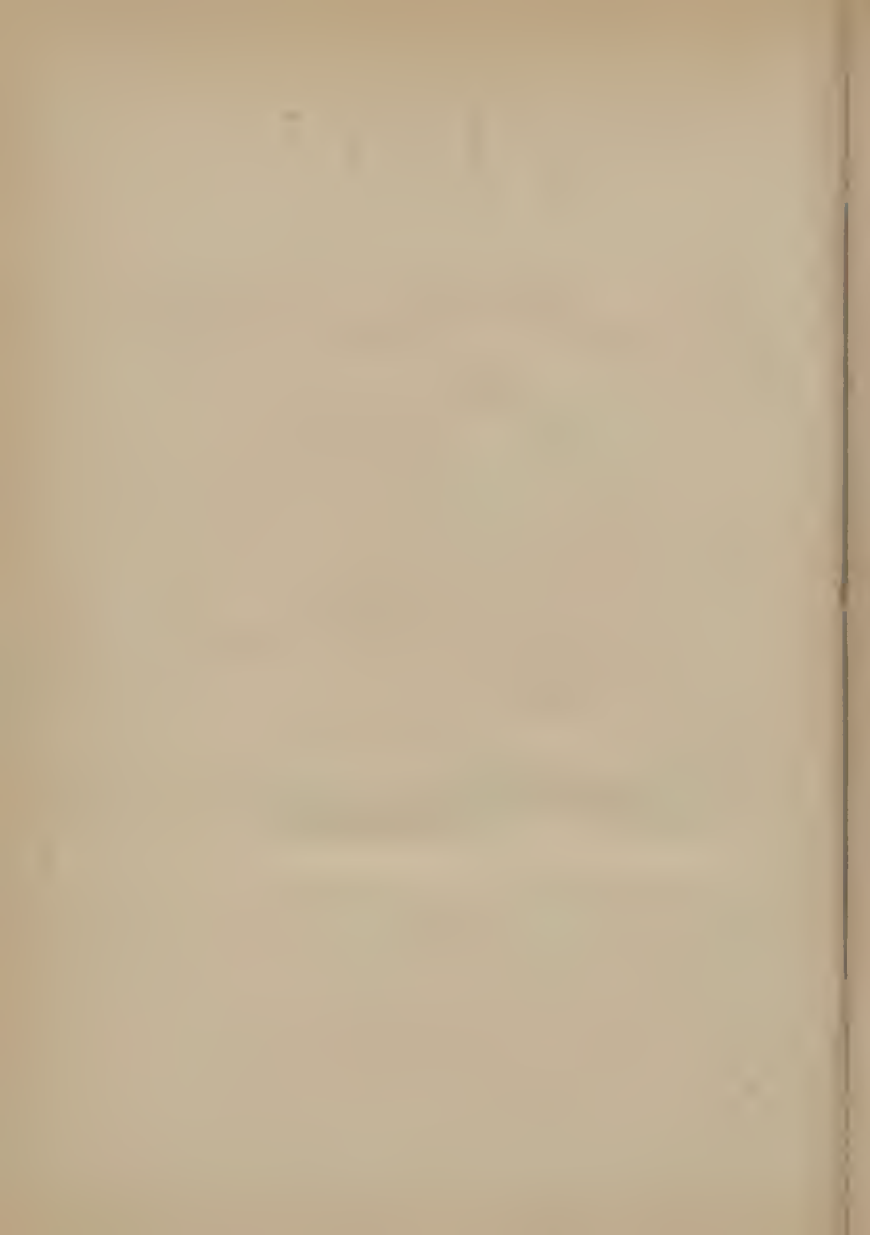
WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom pięćdziesiąty



ADA.

SCENY I CHARAKTERY

Z ŻYCIA POWSZEDNIEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1885.

Доволено Ценаурою
Варшава, 5 Июля 1884 годч.

— No — na ten raz — odezwał się siedzący w ganku Erdziwiłł, naprzeciw majora, który już na gościniec nie patrząc fajkę palił — na ten raz — kochany panie Pietrze — to on!! Słowo daję.

Zerwał się major — drżącą rękę przyłożył do czoła — milczący...

— Tak — to on! powtórzył.

Czuć było w głosie wzruszenie. nie widać było radości.

— Panie Pietrze — rzekł całując go w ramię siedzia — jakże pocziw — nie łajże chłopca... nie męcz go...

Odwrócił się major opryskliwie.

— Czyś oszalał? skrutywsia? co tobie?

— A no?

Jazzyga ramionami ruszył.

Na gościncu widać było tuman kurzu tylko, ale wprawne oczy wiejskich mieszkańców umieją nawet z takiego obłoku wywróżyć co on w sobie mieści — stado owiec, czy wóz chłopski. czy bryczkę sąsiada. Serce biło majorowi. i to mu było najlepszą wróżbą, że syn jechał nareszcie. Czas też było — czekał nań długo. a dni mu się dłuższemi jeszcze wydawały, bo się niecierpliwił.

Erdziwiłłowi, który przykutą siedział przy Jazydze jak na straży, oczy poweselały, bo na jednym miejscu długo trwać nie był nawykły i do domu się już zatęsknił.

W tumanie kurzu postrzegli konie i bryczkę. — służba też z kuchni zobaczywszy ją, a wiedząc jak pan niespokojny był, biegła z oznajmieniem.

— Panicz jedzie!

Bnrakowski bez czapki wyleciał ze stodoły do pana z tem samem oznajmieniem.

— Pan Robert jedzie!

On to był w istocie — jechał błądy i jakby przełękły, nie wiedząc co go tu czeka, a jak tylko bryczka u ganku stanęła, skoczył całować ojca w ramię.

Stary go uściśnął serdecznie i w głowę kilka razy pocałował.

Przyszła kolej na Erdziwiła, który przywitaniu chciał nadać ton wesoły.

— O! urwis z waszci, bałamut, bratku! Jużemy tu z ojcem oczy wypatrzyli!

— Pisałem — rzekł Robert.

— Ale już po pisaniu czas było przybyć samemu! — rzekł Erdziwil. Koń ci chyba zakulał w drodze.

— Nie — odparł Robert, psuła mi się bryczka tylko, i dwa razy po kilka godzin dla niej straciłem.

— Dajmy temu pokój! — przerwał major — co było a nie jest, nie pisze się w registr. Chodźmy do pokoju — głodny jesteś?

— Nie — dziękuję.

— Jak to? z drogi, i nie głodny? zaśmiał się sędzia — to przeciw rzeczy naturze. Każ dawać jeść majorze. Nie wierz gębie, połóż na zębie.

I jeden i drugi, nadrabiając wesołością, z ukosa spoglądali na przybyłego, znajdowali go zmizerowanym, bladym, zmienionym. Ojciec tem czulszym się chciał okazać. O powodzie powołania, o niczem nie wspominał. Robert to sobie tłómaczył przytomnością obcego — i trwoga go nie opuszczała. Erdziwil też

znajdując się potrzebnym. dla złagodzenia pierwszego starcia, którego się zawsze obawiał — dosiadywał. choć konie miał już i na ochocie wyrwania się nie zbywało.

Major ażeby uniknąć wszelkiego wspomnienia Ruszkowa. nawet o pułkownika się nie zapytał... Mówiono o niczem... o pogodzie — o polach. a Erdziwili wesołe koncepta wtrącał.

Pomimo to czuć było coś ciężącego nad nimi. jak zwykle gdy się otwarcie nie można wytłómaczyć — a lęka się chwili ostatecznej rozprawy. która nadejść musi. Każdemu z nich jakiś wzgląd mowę tamował..

Robert więcej słuchał niż się odzywał. milczący był — odpowiadał zaledwie krótko. Przyniesiono jedzenie. ledwie go dotknął.

Uwolnił się potem natychmiast dla urządzenia w mieszkaniu, a postrzegłszy. że ojciec mu inne i obszerniejsze przeznaczył. zawahał się z przyjęciem. Widać było. że go to przeraziło. Przy Erdziwille jednak mówić nie wypadało. Robert się tymczasowo tylko w dawnym pokoiku. jak na popasie, rozlokował.

Tak dotrwali jakoś do późnego wieczoru, a sędzia, którego konie od dawna drzemały stojąc z spuszczanymi głowami — pożegnał się w końcu i odjechał, w ganku jeszcze szepnąwszy przyjacielowi na ucho:

— Nie napadaj na niego... nie łaj proszę!

Troskliwość to była zbyt uczciwa. bo major najmniejszej nie miał ochoty czynienia przykrości dziecku. Żał mu go było. Wierny swym przekonaniom nie mógł dozwolić na to co według niego nieszczęście sprowadzić musiało — ale gotów był surowość złagodzić wszelkimi sposobami. Ustąpić nie mógł — a znęcać się nie było w jego charakterze. Przemyślał owszem jakby najmniej dać uczuć Robertowi przykrość. którą wyrządzać musiał. Okazywał mu czułość nadzwyczajną...

Nie bąknąwszy słowa, major dał dobranoc i poszedł do siebie. Tu chodził długo, modlił się, ogień na kominku podsyczał, fajkę palił, i nie rychło się mógł położyć.

Potrzeba się było z synem rozmówić—to jak kamień leżało mu na piersi. Z rana nie miał Jazyga siły rozpocząć, odłożył na poobiedzie. Po południu rad był, że mu coś przeszkodziło. Zwlekło się do drugiego wieczoru.. Stary czuł rodzaj gorączki i powiedział sobie, że — odkładanie nie zdało się na nic, trzeba było mieć mężstwo i raz skończyć wszystko.

Siedzieli na ławce w ganku, gdy po milczeniu dosyć długiem, major wstał.

— Mój Robercie,—rzekł — przekonałem się w czasie twej niebytności, że my rozdzieleni żyć nie możemy. Ja się zateskniam i niepokoję. Gotowem ci oddać Żabliszki, sam się wynieść choć na folwark... a dłużej w tych Zahajach, za światem ci siedzieć nie dozwolę...

Kazałem ci przyjechać — i nie pozwolę tam wrócić.

Robert się zerwał z ławy.

— Ojcie kochany.

— Nie przerywaj mi—rzekł major stanowczo. Tak nie wrócisz więcej do Zahajów. Burakowskiego tam jutro wysyłam, aby je objął i gospodarował. O żadną stratę mi nie idzie.. choćby wszystko z kretesem licho wzięło... Pal ich kaci!...

Nie pozwolę ci tam siedzieć — jest to moja wola niezłomna. Wiesz, że ja co raz powiem, dotrzymuję..

Zostaniesz ze mną.

Tu zamilkł nieco major, spodziewając się odpowiedzi jakiejś — Robert siedział ze spuszczoną głową niemy, słuchał jak zdębtwiały — i gdy ojciec mówić przestał, nie odezwał się wcale.

— Tak będzie?—powtórzył major.

Robert nie odpowiedział nic.

— Cóż ty na to? — zawołał stary trochę zniecierpliwiony.

— Jak skoro ojciec rozkazuje—nie mam nic do odpowiedzenia — odezwał się Robert głosem złamanym.

— Ja wiem, że ci to nie w smak, mówił dalej major—odwykłeś od naszego towarzystwa i obyczaju—państwo ci zasmakowało. Ten nieszczęsny Rusków cię popsuł. My chwała Bogu, do tych ludzi i świata nie należymy i należeć nie będziemy. Wrócić trzeba do własnej chaty i w niej szczęścia szukać.

Czując jak niewłaściwie byłoby bronić się od zarzutów i spór wieść z ojcem. Robert wszystko przyjmował milczący. Twarz mu się tylko paliła. Majora więcej milczenie niecierpliwiło, niżby go oppozycja gniewała.

— Nie jestemże wart odpowiedzi!—zawołał gniewnie prawie.

— Ja nic nie mam do odpowiedzenia—rzekł Robert z pokorą. Ojciec mi rozkazuje — słucham... Wszak rozkaz przyjmuję posłuszny!

— Tak! posłuszny! podchwycił major—ja chcę wiedzieć co myślisz...

— Nie mogę walczyć z przekonaniem ojca—mówił Robert, — bobym ich nie zmienił... Nie godzi mi się opierać... pozostaje tylko milczenie...

Zżymnął się stary...

— Milcz więc jeśli ci z tem lepiej -odezwał się—milcz. Moje rozporządzenie nieodwołalne. Burakowskiemu wydasz instrukcję co do gospodarstwa i wysłania ci tu twych rzeczy, które zostawiłeś w Żabłach. Pojutrze wyprowadzić go trzeba. Naznaczyłem ci obszerniejsze mieszkanie, bo chcę, byś był panem w Żabłiskach.

— Mnie starczy mojej izdebki - odparł Robert — a w Żabłiskach, dopóki ojciec zdrow i żyw, ja gospodarować nie potrzebuję.

— A cóż będziesz robił?

— Choćbym na miejscu Burakowskiego ekonomował, wszystko mi jedno. obojętnie dodał Robert.

To mówiąc wstał... skłonił się i unikając praw dalszych—odszedł.

Major pozostał sam. Bierne to posłuszeństwo syna nie podobało mu się. Widział w nim opór i energię skrytą, większą, niż się spodziewał. Zgryzło go to.—lecz nie złamało.

Posłał po Ernesta, który się natychmiast znalazł, bo był na folwarku. zajęty zapisywaniem robotnika.

— Panie Burakowski—rzekł major,—niespodziana zmiana zachodzi. z której spodziewam się kontent będziesz. Masz u mnie pięćset złotych. wygody i utrzymanie parę koni... daję waćpanu tysiąc z temi samemi dodatkami. abyś jechał gospodarować do Zahajów, na miejscu Roberta. Syn mój tam już nie powróci. Odeszlesz mu z tamtąd jego rzeczy. Proszę wziąć instrukcyę u niego. Cóż? kontent jesteś?

Major nie spodziewał się tu także przeciw woli swej bunt, ani nawet protestacyi. Ernest był wychowany z Robertem, prawie dziecięciem domu. Jazyga nim rozporządzał jak swoim. Spojrzał tylko nań—czekając na podziękowanie, a ujrzał wahanie się i niepewność.

— Spodziewam się. żeś waćpan z warunków kontent? dodał.

— A! pewnie, panie majorze dobrodzieju — kłaniając się rzekł Burakowski — ale czy ja tam sobie dam radę? A—odpowiedzialność!

— Dasz sobie radę jak będziesz mógł—zawołał major—nie jestem wymagający. Proszę wziąć instrukcyę od Roberta... Pojutrze nieodmiennie wyjedziesz...

Odwrócił się stary i zostawił go tak samego w ganku. Uszom swym nie wierząc. a domysłając się w tej nagłej zmianie coś dla Roberta przykrego, Ernest niezbyt nradowany, z wolna obszedł dom, aby się dostać do panicza...

Stosunki ich od pierwszych lat dzieciństwa łączyły z sobą. Chłopcami bawili się razem w dziedzińcu, wkradali do ogrodów, dokazywali z koniami — razem bywali karani... Kochali się jak bracia. Gdy Roberta do szkół oddano, towarzyszył mu Ernest, na wpół jako sługa, pół kolega. Siedzieli w jednej klasie, obok siebie — aż do ukończenia gimnazjum. Nie mieli dla siebie tajemnic — a w młodszym nawet wieku nie pokłócili się nigdy.

Ernest był z miłością i poświęceniem dla panicza.... ponęcał z nim, a pełen uszanowania. Kochał go tak że choć ubogi i nie mający nic nad to miejsce, jakie mu po ojcu dał major, chętnieby je poświęcił, byle się nie narazić Robertowi. Szedł więc do niego smutny... Śmiało mu się to co przyręczone było w Zahajach, ale mógłże przyjąć? A gdyby zmuszony był odmówić — majorby go z pewnością nie trzymał dłużej w Żabliszkach.

Wsunął się trwożnie spoglądając przed siebie do izby, w której Robert siedział w ciemnym kącie — podparty na łokciu... Na widok Ernesta wstał. Ten podszedł.

— Cóż się to stało? zapytał Burakowski — pan mi każe jechać gospodarować do Zahajów?

Robert jakby chciał mówić i nie śmiał. Obejrzał się zawahał. Noc już była, księżyc się z wolna podnosił po nad sine lasów ściany.

— Chodźmyż się przejść ku figurze — szepnął Robert...

— Dobrze — odparł Burakowski...

Droga ku figurze brzozaami wysadzana, szła od ogrodu do jednej ze wsi sąsiednich. Na granicy Żabliszek stał wielki krzyż czarny, niegdyś przez matkę Roberta wystawiony. Mało jeżdżono tamtędy, ale przechadzka była miłą. Stare brzozy z powieszanymi gałęzmi, powyginane dziwnie, osłaniały nieszeroką drożynę... W prawo ciągnął się gaj brzozowy

białemi wysokimi pniami świecący. Cicho było i pusto w tej stronie...

Wyszli w ulicę razem.

— Słuchaj Erneście — odezwał się stając Jazyga — tys tak jak mój brat — ufam ci — nie chcę kryć przed tobą tego, co ci mogę powierzyć. Ojciec się gniewa na mnie za zawiązane stosunki z pewnym domem — stosunki, których więcej się domysla, niż wie o nich. Dla zerwania ich kazał mi tu powrócić...

— A pan? spytał Ernest.

— Muszę być posłuszy — rzekł Robert — ale — Erneście mój — prawda jest... ja się kocham, kocham się szalenie... Wytrwam z tem lub umrę, a nie zmienię się.

Załamawszy ręce słuchał Burakowski.

— Ale czyż nasz stary pan tyran taki, żeby... zmniejszał! To nie może być!

— Znasz go — mówił Robert. Kocha mnie, chce mojego szczęścia, robi to w przekonaniu, iż mnie ratuje... Trzeba cierpieć.

Tu zbliżył się do Ernesta i całując go w twarz, szepnął po cichu:

— Weźmiesz list... do niej — oddasz go jej — do rąk własnych! rozumiesz...

— Rozumiem — odparł Ernest.

— Przez ciebie iść będą odpowiedzi... ja do ciebie pisać będę...

Głos mu drżał gdy mówił.

— Któż to jest? czy uchowaj Boże, nie zameżna? spytał z trwogą Burakowski.

— Wolną jest — mówił Jazyga — panią swej woli — ale miliony ma i arystokratką ją ojciec nazywa... a wiesz jak się tem brzydzi...

Stał zamyślony Burakowski, głowę spusciwszy jak przybity.

— Otożesmy się nieszczęścia doczekali! rzekł w końcu. Co to teraz będzie z nami... z wami, ze starym panem?... A wszystkiego jedna narobiła kobieta.

O! już to ja zawsze powiadałem i mówię: od kobiety jak od ognia...

Mam jechać? dodał.

— Musisz jechać—potwierdził Robert—dziś ty nawet mnie jesteś potrzebny...

Uściskał go... poszli dalej smutni drogą, nie zważając, że po za brzozami przesunął się major, który chwilami stał, nasłuchiwał, mógł jakie słowo pochwycić—ale nagle splunawszy, jakby się zawstydził własnej ciekawości, pospiesznie do dworku powrócił.

Robert z Ernestem chodzili tak długo jeszcze: a gdy Burakowski na folwark powrócił, on, co zawsze wyswistywał piosenki i był wesół jak ptaszę, nie otworzywszy ust rzucił się na łóżko. Twarz miał zasępioną.

Następnego dnia gdy się zeszli ojciec z synem, major, który zrzucił z serca ciężar, najczulej, uściskał go—chciał być wesół, proponował polowanie, potem przejażdżkę w sąsiedztwo... ale Robert nie miał do tego ochoty... wymówił się. Potrzeba było Ernesta wyprawić...

Nie nalegał stary, nienastannie tylko zachodził do Roberta, pytał czy mu czego nie potrzeba: troszczył się, niepokoił i sługom kazał brać rozkazy u niego. Czulszym był niż kiedykolwiek—syn też nie mógł tego nie czuć, ale chodził zasępiony i blady, z przymusem się uśmiechając.

Erdziwił, który był niezmiernie ciekawy jak się rzeczy między nimi obróć, nadjechał dnia tego po drodze do Żabliszek. Majora samego zastawszy w ganku, obejrzał się i napadł nań zaraz z pytaniem:

— A cóż? a syn?

— Czegożes się ty obawiał? żebym ja własnego dziecka nie zjadł? odparł major z uśmiechem niewesołym. Wszystko dobrze.. Rozporządziłem jak było postanowiono — Burakowski jutro jedzie do Zahajów, Robert ze mną zostanie tu —no—i koniec.

— I koniec!! powtórzył Erdziwiłł. Otóż to tylko kwestya, czy to koniec, czy początek?

— Jakiś ty śmieszny! a czegoż to ma być początek? Myślisz że ja będę z dzieckiem wojnę prowadził, albo on ze mną? Robert mój wychowany poczcziwie, dobry, posłuszny...

— Ale... o babę chodzi! skrobiąc się w głowę rzekł cicho Erdziwiłł... Gdyby szło o cokolwiek innego, ani bym wątpił! Jak tylko podwika na placu... wszystkie rachuby chybiają.

Major ręką machnął.

— Stary balamucie—tobie tylko to na myśli!

— A tys zapomniał, gdy byłeś młodym! rzekł Erdziwiłł.

— Własnie dla tego. zem nie zapomniał, chcę dziecko ustrzedz od tego co ja wycierpiałem—gwałtownie wybuchnął major. Dajmy pokój...

Sędzia się obejrzał do koła.

— Dalipan, rzekł z nienacka — ślicznie tu u was w tych Żabliszkach. Wesoło. cicho. zamożno... Nigdzie tak nie czuję błogosławieństwa życia wiejskiego jak n siebie i u was. Zaczęliście siejbie?

Major jakby nie zrozumiał.

— Wiesz —począł z drugiej beczki Erdziwiłł—marszałkówna starsza za mąż wychodzi... Partya co się nazywa, radca izby skarbowej.

— Winszuję... krótko rzekł gospodarz.

— Nie dosyć na tem, i młodsza, która miała konkurenta, będzie już mogła go uszczęśliwić. Nie wydali byli nigdy młodszej przed starszą. Ale to. filut dziewczyna, chcąc sobie otworzyć drogę, siostrze się postarała o pretendenta, i tak zręcznie, słyszę, około sprawy chodziła, że dwie na raz sprawę ubiła!

To mi dziewczyna!!

— Są też posłuchy i o innych gotujących się na zapusty weselach! mówił Erdziwiłł; byle się sprawdziły, będziemy się mieli gdzie zabawić, podochoć, i zażyć dobrej myśli.

— Bardzo się cieszę... dodał major...

Przechodzącemu chłopcu kazał prosić Roberta.

— Powiedz paniczowi, że gościa mamy; niechże on, jako gospodarz, wyjdzie. W prędkę potem ukazał się Robert. Sędzia go ścisnąć zaczął.

— A co? rzekł — nie prawda? wszędzie dobrze, a najlepiej w domu? To złote jabłko te wasze Żabliszki... Cacko, słowo daję... Tylko nam ciebie brakło, ażeby się ożywiły...

— O! ja ich ożywić nie potrafię — smutnie się uśmiechnął Robert, — bo lubię samotność i ciszę...

— To nic potem dla młodego — wtrącił major. Młody być młodym powinien... Nam starym co innego...

— I widzisz pan, że ja — niby nie tak to młody — dodał Erdziwił, a ruszam się. Śmieję i drugich pobudzam do śmiechu...

Baraszkując tak sędzia badał twarze obu — chciał się przekonać, jak tu rzeczy stały? i wyniósł tę pewność, że jak powiedział, nie był to koniec, ale początek...

Rozmowa się wlekła, podskakiwała, rwała wiązała — nie szła. — Erdziwił się zmęczył chcąc obu pochmurnych rozruszać, siadł na bryczkę i pojechał do domu zafrasowany.

Tegoż wieczoru Jazyga stary poszedł na folwark do Burakowskiego, który się już do wyjazdu gotował. Znalazł go gospodarzającego około starego tłomoka spoczonego i zakłopotanego.

— Mój Erneście, rzekł — jedną ci rzecz chciałem powiedzieć jeszcze...

Tłomaczyć ci się nie będę — jak — co, dla czego... przestrzegam tylko, abys w żadnej korespondencji nie pośredniczył, listów nie posyłał i nie woził. Najprzód że to nie twoja rzecz — a powtóre, że tu do Żabliszek, bez mojej wiadomości, list się żaden nie dostanie i ztąd nie wyjdzie.

Więc to zachód stracony...

Trzasnął major drzwiami i wyszedł. Burakowski jak stał nad łomokiem otwartym, tak został długo, nie wiedząc już co począć...

Na myśl mu przyszło z razu, rzucić służbę tę, pójść innej szukać, wyrzec się tysiąca złotych — a palca nie klasć między drzwi. Gdy jednak rozważył potem, iż Roberta opuści, że go zdradzi i bez pomocy zda na to prześladowanie ojcowskie — westchnął: *Dziej się wola Boża!*

Dla Roberta miał miłość, a dla jego sprawy większe współczucie niż dla tyranii ojcowskiej. Trochę nawet serca stracił dla majora... W młodości więcej ku sobie pociąga miłość niż zimny rozsądek...

Położenie jednak było trudne.

Zdradzać starego, dobrego opiekuna, także się nie godziło.

— Otem wpadł w kleszczel! mówił chodząc po izbie Burakowski. Dałbym na trzy Msze Święte do Ostrej Bramy żeby mnie Matka Najświętsza całego z tej biedy wyprowadziła...

Trzeba było pójść o tem Robertowi oznajmić, lecz nim się wybrał Ernest, ujrzał go wchodzącego.

Podbiegł ku niemu i szepnął z czem stary pan przychodził, powtarzając niemal słowo w słowo.

— Ani chybi, gdyśmy szli pod figurę, ojciec musiał tam być i posłyszał o co cię prosiłem... Bądź spokojny, narażać cię nie mogę i nie będę. Listy pójda inną drogą.

Ernest chciał nprosić — nadaremnie.

Nie przyjmuję twojej ofiary — bo się nie godzi — odparł. Jedź spokojny. Poradź sobie inaczej.

Poszeptali jeszcze trochę i rozeszli się.

Na wyjeździe major śledzić się zdawał Burakowskiego ruchy, ale nie odezwał się już więcej. Robert się z nim pożegnał publicznie w dziedzińcu, mmyślując, aby okazać, że żadnych do powierzenia nie ma tajemnic.

— Wszystkie rzeczy pana Roberta—rzekł stary—proszę zaraz popakować i wyprowadzić furmankami przy dozorze. Jeżelibyś tam acindziej pułkownika Brandyśa widział, kłaniaj mu się odemnie, i powiedz, że pisać nie miałem czasu. Napiszę później. Oznajm mu tylko, że Robert muie tu potrzebny, i do Zahajów już nie wróci. Słyszysz?—nie wróci!

Robert, który już był w ganku, słyszał też to dobrze. — wiedząc, że ta zapowiedź więcej może dla niego niż dla pułkownika była tak dobitnie wygłoszona. Odbiło mu się w sercu, to— straszno:—Nie wróci!

Kto kiedykolwiek kochał, a padło mu na rozżarzone serce jak zimnej wody kropla takie słowo straszne... zamykające na wieki wrota do szczęścia — ten wie — jaka z niego się boleść rodzi. Wszystko człowiek przecierpieć może, oprócz tego jednego — „na wieki.“ które jest jego przeznaczeniem zawsze i wszędzie. Dusza niesmiertelna oburza się na wyrok niepowrotny.. na żelazne prawo — zniszczenia, rozstania, zapomnienia...

W ostygłych latach, pod siwym włosiem przyjmuje się straty chłodniej — w młodości rwą serce z pierśsi—mogą z niej wyrwać i życie.

Od wyjazdu z Zahajów, od rozstania przy furcie ogrodowej, Robert był w stanie jakims, którego sam nie pojmował. Dodawał sobie meztwa, pocieszał nadziejami, które nie wiedział na czem oprzeć — a ból nim owładывał do szaleństwa. Całe to życie terazniejsze wydawało mu się nieznośnem... mrocznem... trywialnem — strasznem jak więzienie ciemne. Nie zajmowało go nic oprócz kilku książek, które miał od niej i kilku małych pamiątek, co ją przypominały. W nocy kładł pierścionek jej na palec, na dzień zdejmował—do dzieciństwa posuwał to pieszczenie i^o ze wspomnieniami.

Milczenie go zabijało... Trzeciego dnia napisał długi list, nic w nim nie mówiąc ani o ojcu, ani o tem

co przetrwał, oznajmując tylko, że mu powracac nie wolno, że musi milczeć i cierpieć.

Po wyjeździe Burakowskiego potrzeba było myśleć o oddaniu listu, o urzędzeniu za czyjśm pośrednictwem korespondencyi. Z początku chciał o to prosić Erdziwiłła, lecz przeczuwał, że tenby się nie podjął może... Najbliższa poczta była o dobre mili półtoiej. Z rana wstawszy, pod pozorem konuej przejażdżki, można było tam i nazad przebiec drogę we dwie godziny... Lękał się Robert, aby go nie śledzono. Wszystko było możliwe. Do kogo się udać, próżno sobie łamał głowę. Listu napisanego oddać nie mógł, bo chciał w nim adres swój pomieścić w ostatku zapisawszy go na ręce pułkownika, i dolożywszy, że drogi, którzyby korespondować mogli, nie znalazł jeszcze — postanowił nazajutrz do dnia dobiec z nim sam na pocztę.

Major wstawał bardzo rano, Robert chciał go uprzedzić, szarżało jeszcze gdy się zerwał, poszedł do stajni, sam sobie konia osiodłał, wyprowadził po cichu, i popędził do miasteczka.

Gdy Jazyga obudził się i jak zwykle o syna zapytał, chłopak mu powiedział, że panicz gdzieś do dnia wyjechał. Wyjechał? nie opowiedziawszy się! — tknęło to starego... Złakł się i błyskawicą przez myśl przeszło mu, iż Robert mógł nciec z rodzicielskiego domu. Nie dając jednak poznać po sobie niepokoju, siadł w ganku oczekując powrotu.

Robert, który za młodu pieszko i konno tylekroć przebiegał okolicę, znał doskonale wszystkie jej drogi i przesmyki.. Puścił się przez lasy na prost, i do miasteczka zdążył tak wcześnie, że poczta była zamknięta. Musiał tu jeszcze czekać chwilę uim się pocztmajster obudził, wdział szlafrok i zebrał do biura...

Nie mając co robić — wiodąc konia zmęczonego za sobą — Robert się przechadzał po na wpół uśpionej miescinie, w której tylko kilku starozakonnych się ruszało, gdy u wrót austeryi stanąwszy, zobaczył

przygotowany już do wyjazdu wózeczek i przy nim dwie kobiety.

Jedna z nich była niemłoda i otyła. druga młodziuchna. przystojna, żywa. Rysy obn mówiły, że to była matka i córka. Starsza, która coś do wozu pakowała i gderała na towarzyszkę. nagle zwróciła oczy ciekawe ku Robertowi, npuściła zawiniątko, które w rękę trzymała i krzyknęła głośno:

— A! jak Boga kocham—pan Robert czy co?

Słyszając wymówione imię swoje, Jazyga się zbliżył ciekawie. Jejmość ręce obie otwarła jak do uścisku, i powtórzyła:

— Pan Robert! miły Boże—co za szczęście!...

Była to dawna sługa wyprawna matki jego, niegdy panna Zenobla Arwentowiczówna. dziś pani Żebrzyńska, która dosyć długo w domu Jazygów przebywała, dopóki ubogi szlachciec na trzech chatach nie wystarał się o nią w święty stan małżeński.

Staraniu temu i wyjściu za mąż sługi. która żonie jego ulubioną była i potrzebną. mocno się sprzeciwiał stary Jazyga. Rozgniewało go to tak. że niewdzięczna istota wołała ubogiego szlachetkę, niż los jaki on jej chciał zapewnić, gdyby przy majorowej pozostała, że zapowiedział jej w końcu. aby mu się nigdy na oczy nie pokazywała.

Matka Roberta, kochając ją. pomagała jej w sekrecie, nie chcąc drażnić męża, pani Żebrzyńska nie pokazywała się w Żabłiszczkach aż do śmierci pani. Na pogrzebie zobaczywszy ją major. zapomniał o dawnej nrazie, przejednał się. widząc płacz i żal jej po zmarłej. Mimo to Żebrzyńska, której mąż był obrażony. i zakazywał jej jeździć do Jazygów. rzadko ich widywała. Dawna jej miłość dla pani zlała się na dziecię—kochala Roberta jak własnego syna — a nie widziała go tak dawno. Znał to przywiązanie Jazyga. i ucieszył się widząc poczeiwą twarz. rozjaśnioną razem uśmiechem i oblaną łzami.

— Moja dobra, kochana pani Żebrzyńska! jakżem rad, że was widzę! — zawołał.

Jejmość odwróciła się do córki...

— A ukłóńże się — toż to pan Robert — a dygnij mi slicznie!

Dziewczę się po uszy zarumieniło.

— Wystaw sobie, mój złoty panie — poczęła Żebrzyńska — jak to człowiek nigdy nie wie, co błogosławić, a co przeklinać... Wczoraj jak mi się Kondrat bestya spił, że o pół mili od domu musiała tu w tem karczmisku nocować i za owies płacić, a tam mi się mężyisko turbowało, co się zemną dzieje — ani mi się sniło, żeby mnie tu dziś takie szczęście czekało... O Jezu mój miły! Ale jak pan mi wyglądasz mi-zernie!

Popatrzała nań Żebrzyńska, odwróciła się do córki, której coś szepnęła, a ta natychmiast odeszła i zbliżyła się szybko do Roberta, odprowadzając go nieco na stronę.

— Mój złoty panie — zaczęła — ja bo was i nie smiem za język ciągnąć — a tak mi się chce prawdy dowiedzieć? Pan mnie znasz, jam cię na ręku nosiła.. możesz mi zaufać. Powiedz, czy to prawda, co tu ludzie plotą? Po całym sąsiedztwie rozeszła się wieść — jakoby pan tam z jakąś bogatą dziewczką się pokochał, zaręczył... a major, jak to on zawsze despota — o! jak mi Bóg miły. że prawda — gwałtem go tu odcignał, nie chcąc pozwolić na małżeństwo...

Patrzała mu w oczy badając.

— Ale któż mógł tu to rozpuścić? — zawołał Robert.

— Albo to można dojść, proszę pana? — mówiła Żebrzyńska — to tak wiatry niosą. Bóg wie. Ale czyż prawda?

Zaparlby się był może Robert, gdyby mu na myśl nie przyszło że poczciwa, kochająca go Że-

brzyńska, może mu być pomocą do korespondencji.

— Moja droga Żebrzyńska — rzekł — jest w tem trochę prawdy i trochę dodatku... A! tak! zakochałem się—ale ojciec zaledwie się tego domysła, nie wie o niczem. Kazał mi powrócić do Żabliszek z tego powodu, a ja tu usycham i umieram...

Listu nawet do niej posłać, ani odebrać od niej nie mogę...

— Mój złoty, mój drogi — a to ja i mąż mój ci pomożemy — krzyknęła uradowana kobiecina... Albo to ja nie znam majora, coby wszystkich chciał prowadzić po komendzie? Mieszkamy o milkę od Żabliszek, czy przyjedziesz, czy przyszlesz, czy ja ci list przywiozę... Z duszy i serca! Ja się majora nie boję, a jak mu zrobię na przekór—to i owszem. Małom ja z tego przyczyny cierpiała?

— Nie mówcie nic na ojca! — rzekł Robert — ja go kocham, cóż winien, że mnie nie rozumie.

— Jeszcze go bronisz, pocziwe dziecko! — odparła całując go w ramię jejmość.

Po tym wstępie umowa o listy poszła już łatwo, a nic nie wyrówna radości, z jaką się usługi podjęła Żebrzyńska. Miała przyjemność figla wypłatać majorowi, dziecku kochanemu dać dowód przywiązania i nosić się z sekretem, który kobiety lubią. To życie przyjemnie zaprawia... Nie czekając już otwarcia poczty, Robert wbiegł tylko do austeryi, aby tam adres Żebrzyńskiej dopisać i list na nowo zapieczętowawszy, oddał go jej dziękując serdecznie.

Staneła umowa, że gdy ona odbierze odpowiedź, sama ją pod jakimś pozorem przywiezie do Żabliszek.

Siadł potem na konia Robert i co tchu do domu popędził. W drodze namyslał się co odpowie ojcu, jesliby go spytał, dokąd jeździł? Kłamstwo przykre mu było, postanowił powiedzieć, że jeździł do miasteczka. Nie spodziewał się, aby go ojciec ściślej miał badać o cel podróży.

Major, oczekujący powrotu w ganku, z którego się nie ruszył od rana — tak był szczęśliwy zobaczywszy syna... iż ledwie się spytał gdzie jeździł?... Dreść go niepokój i przeczucia...

— Chciałem się przejechać — rzekł Robert.

— Bardzo to dobrze — odparł major — ale mnie zostawiłeś w takiej niepewności...

— Ojciec spał gdy wyjeżdżał, a posadzić mnie nie mogłem, że ucieknę! — dodał syn z uśmiechem bolesnym.

Zarumienił się Jazyga...

— Obawiałem się, aby się co nie trafiło! Kasztana wzięłeś — nogi ma złe... Na takim koniu najlepszy jeździec niepewny... Potrzeba ci wierzchowca. Ten twój co go z Zahajów przyprowadzą, choć niezły, ale nie starczy... Muszę ci się postarać o innego. Trzeba żebyś miał dwa co najmniej.

Sklonił się Robert. Ojciec był tego dnia w czułościach ciągłych które nie mogły nie wzbudzić w synu wdzięczności. Wszystkiego mu dla Roberta było mało. chciał dom mu urządzić na nowo, sprowadzać meble... Koczyk lekki sprawić.. myśliwstwo staranniej urządzić. Syn się wymawiał, ale on tego nie słuchał...

W kilka dni potem major zaproponował wycieczkę do Tarajewa, do państwa Ochmańskich.. Spojrzał w oczy synowi — mówiąc to — i postrzegł pewny wyraz wstrętu na twarzy.

— Nie chcesz! dla czego? poczciwi ludzie. Leokadya piękna i miła dziewczyna. Rozerwałbyś się...

— Jeżeli to ma dla ojca stanowić rozrywkę — odezwał się Robert — służę mu, jeżeli dla mnie. proszę o uwolnienie...

— Dla czego?

— Do odwiedzin nie mam najmniejszej ochoty.. — rzekł Robert.

— Niepodobna nie żyć z ludźmi... no — a koniec końców—ja ciebie ożenić muszę. Powiem szczerze, Leokadya mi się podoba.

Jakiś czas milczał Robert.

— Mam przyrzeczenie kochanego ojca, że mi w tem gwałtu zadawać nie będziesz. a oświadczam mu otwarcie. że o małżeństwie dla mnie mowy być nie może.

— Gwałtu ci zadawać nie myślę. mówiłem to i powtarzam. przecież cię ani Ochmańscy, ani panna Leokadya nie zmuszą. abys się swatał... Co ci szkodzi pojechać?

— Kochany ojczy, rozumiecie to dobrze — rzekł Robert, że gdy młody człowiek parę razy odwiedzi dom. w którym jest panna na wydaniu, i rodzicom i pannie może to dać do myślenia... Tego ja sobie nie życzę.

— Dziwactwo! śmieszność!—mruknął major.— Nie trzeba się zarzekać nic i wyrokować naprzód,.. Rozpatrz się, poznaj. co ci się dziś nie podobało. może jutro przypaść do smaku.

— Nigdy — zamknął Robert.

— Nie pojedziesz?...

— Proszę mnie uwolnić!

Major odszedł mocno nadąsany, ale zmuszać nie chciał; przemyślał nad środkami wyciągnięcia syna z tej samotności, którą uważał za szkodliwą, znaleźć ich nie mógł.

Tymczasem jednego poobiedzia, gdy stary Jazyga wyszedł do pasieki. zjawił się wózek z panią Żebrzyńską. Wybiegł naprzeciw niej do wrot Robert. był to ten list oczekiwany — pożądaný, który jak manna spadł na pustynię zgłodzonemu. Posadziwszy Żebrzyńską w ganku, poleciał z nim do swojego pokoju... począł czytać, nie zrozumiał nic. pismo latało mu przed oczyma, wyrazy wydawały jakieś dźwięki niepojęte. pocałował papier. wsunął go na piersi i pobiegł przyjmować swą dobrą opiekunkę, której

ogromny pakiet powierzył, korzystając z ojca niebytności. Jejność schowała go jak najstaranniej za gors, gdzie był od wszelkiej napaści bezpieczny. Napoiwszy ją kawą, nakarmiwszy sucharkami, obdarzywszy czem mógł i miał. Robert odprowadził za wrota, a sam, lekając się drogi ów list czytać w domu, aby go ojciec nie zaskoczył—poszedł z nim do blizkiego lasu...

I tu jeszcze w początku czytanie było trudne... Sam widok listu poruszał go tak mocno, iż mu władzę pojmowania odbierał... Zrozumiał tylko początek listu: — „Mój drogi“ — i koniec jego — „Twoja.“ Tego prawie mu starczyło... Z wolna dopiero, przychodząc do siebie, mógł długie pismo to, przynoszące mu pociechę... po wierszu, po słowie przelać do stęsknionej duszy...

— „Mój drogi, pisała Ada, siadam pisać do ciebie, sama nie wiedząc czy mam się z tobą dzielić bólem, który mnie uciska — czy pocieszać cię i dodawać męztwa... Chciałabym odgadnąć co się z tobą dzieje, co ty cierpisz, czyś tak zbrojny i zrezyguowany jak my oboje być powinniśmy? Paniętaj jedno:—nasze szczęście od nas samych zależy. Przeszkody, jakie stanęły na drodze, nie mogą być wieczne — a miłość powinna być wiekuiatą. Ojciec twój ulegnie, gdy będzie widział stałe przywiązanie twoje, znajdziemy środki wpłynięcia na niego. Zmieni się wszystko... Kochaj mnie tylko... Kochaj tak jak ja kocham ciebie i pragnę być kochaną...

..Ale któż nam stracone godziny powróci?? Ja liczę je od wyjazdu twego, i wiekami się mi zdają.

„Chciałabym oszukać sama siebie — wyszukuję pracy, gorączkowego zajęcia—a pracować nie umiem. tylko marzyć; to co we mnie budziło gorączkę. zimnem jak lód mi się wydaje. Szukam ciebie myślami po szerokim świecie... widzę cię, a siłą serca magnetyczną pociągnąć ku sobie nie mogę.. Czujesz ty to, że ja wyteżam całą potęgę tajemniczą... aby cię zbliżyć —

porwać—zmusić powrócić do mnie... Mnie się czasem zdaje, że ja czuję jak ty ciągniesz mnie wolą swą... i zrywam się iść — i padam... bezsilna. Nie można!!

...,Wieszże ty o tem, że Oblęcki i Karolina, wzięwszy się za ręce, poszli w świat odemnie?... Uciekli... Serce mi się ściska — ale oni choć godzinę byli może szczęśliwi. Czasem im szczęścia ich i nieszczęścia zazdroszczę. Nie mogliżbyśmy my uciec tak we dwoje i skryć się gdzieś na końcu świata...?

„Nie — nie! Ja nie chcę kradzionego szczęścia, gdy zdobyte mieć mogę...

„Chcę, byś był wesół i swobodny — proszę cię o to... Ból to trwoga. my powinniśmy być mężni, bo wierzymy w siebie. Nie prawdaż? Bądź uśmiechnięty, wesół, niech nikt nie pozna, że cierpisz... Ja się zmuszam. aby mi nikt z twarzy nie wyczytał bólu i nie litował się nademną. Nie cierpię litości...

„Karolina pisała do mnie przepraszając., nie gniewam się, żałuję jej tylko! Nie wiem co się z nimi stało, ani gdzie są nawet. Obojga odwaga budzi we mnie podziwienie. cześć niemal; ona uwierzyła w niego, on — gotów jest wyrzec się ideału artystycznego i zostać rzemieślnikiem dla niej. Nie jestże to godne nwielenia poświęcenie?...“

Za czasów gdy Karol Marya Weber pisał Freyschütza, żyła w Dreźnie niemłoda panna, która pisywała do ówczesnych dzienników i miała pewną wziętość.

Gdy odegrano pierwszą operę jego. wystąpiła z krytyką straszną... Spytano potem Webera o zdanie. jak pannę literatkę znajdował?

— Wyśmienita osoba. rzekł, ale nieszczęśliwa, cierpi brzydką chorobę, atramentu upływu powstrzymać nie może...

Na tę samą atramentową chorobę cierpiała panna Hortensya, nie mogła się powstrzymać od pisania listów. Stało się to dla niej nałogiem... Wypadki zaśle w Ruszkowie, porwanie panny Karoliny — gwałtowny wyjazd przymusowy Roberta — pobudzały jeszcze do pisania... Więc choć do szambelanowej, do ostatniej jej bytności, nie czuła szczególnego affektu, byłaby jej przynajmniej o wszystkim doniosła, gdyby nie miała panny Dyakowskiej.

Na jej łono potrzebowała wylać wszystko co czuła i widziała. Nie wydając tajemnicy swej, w liście jednak dawała do zrozumienia, że do oddalenia Jazygi... mogła się nieco przyczynić. Uważała to za rzecz sumienia...

List obszerny, złośliwemi nwagami i przypuszczeniami przeplatany, wyprawiony został na pocztę. Szambelanowa przynajmniej tak była plotek ciekawa, jak Hortensya do ndzielania ich hojna. Panna Dyakowska przysłała do niej z tym listem... i czytać go po dwakroć musiała — a wykrzyknikom nie było końca. Pełna zawsze sympatyi dla serc kochających się, starszka losem panny Karoliny i Obłęckiego niezmiernie była wzruszona. Ale niemniej zajmowało ją nagle powołanie Roberta i to co Ada cierpiała. Hortensya nad tem cierpieniem z przyjemnością rozwodziła się w liście. Było ono jej dziełem — jej cichem zwycięstwem...

Sądzić było można chwilę, że szambelanowa tego dnia do wista nie siądzie. tak była poruszona i przejęta. Jednak gdy partnerowie nadeszli, nie mogła się powstrzymać, i to jej w smutku uczyniło niejaką dystrakcyę

Drugiego dnia odwiedził ją Karol. Udzielenie tych wiadomości jemu, zajęło godzinę parę. Rozprawiano, zastanawiano się, ubolewano.

Karol, który się nie krył ze szczególną sympatią dla Sensytywy, nie mógł pojąć jak się ona na taki krok odważyć mogła. Żał mu jej było, gotów ją był ratować! ale gdzie i jak szukać tych zbiegów?...

Zarówno uczuł wyrządzoną Adzie boleść — przez oddalenie Roberta...

— Przynajmniej za to cośby radzić można! zawołał — Ada jest dumna — będzie wołała cierpieć niż krok jakikolwiek uczynić stanowczy. Wie babcia co? Przedemną się ona tać nie będzie. Wie dobrze, że ją odgadłem... Z duszy sercabym pojechał... i mógłbym jakimkolwiek sposobem... może Roberta uazać ściągnąć. Żał mi jej...

Szambelanowa ani za tem, ani przeciw temu nie była. Karol się zapalił do tej myśli służenia kuzynce ..

W przededniu wygrał był paręset rubli... miał niezmierną ochotę na tę podróż je poświęcić — pojechać z kondolencją przynajmniej, a jeśliby się przydał... pusić się na awanturuiczną wyprawę za Jazygą.

Znudzonemu człowiekowi, który wrażeń szukał chciwie, była to pożądana gratka.

— Pojadę — słowo daję — pojadę — zawołał — nie wytrzymam. Przynajmniej, jeśli nic więcej, tej obrzydłej Hortensyi będę miał przyjemność dojeść moją figurą.

Szambelanowa czyniła uwagi...

Pańska Dyakowska z cicha pozwoiliła sobie żartu, że może pan Karol opróżnione miejsce po panu Robertcie zająłby sobie życzył.

— A! czemuż nie? odparł Karol — jako małżeństwo rozumne, nie mogłoby być lepsze nad to dla mnie — ale rozumne śluby są przeklecie nudne, a zakochać się nie mam sposobu inaczej, chyba.. w piętnastoletnim podlotku!

Nazajutrz po tej rozmowie, bardzo rano wpadł Karol do babci. prawie po podróznemu ubrany.

Pocałował ją w rękę.

— Wie, babcia — nie mogę wysiedzieć, jadę na parę dni do Ruszkowa. To rzecz postanowiona.

— Proszę o list i rozkazy.

— Otoż masz, gorąco kąpany — kiedyż?

— Dziś wieczorem.

Weszła panna Dyakowska usłyszawszy to... Czyż być może?

— Słowo pani daję! Ada była dla mnie bardzo dobra. Chcę się poświęcić na jej usługi. Familia jej dokuczyła, ja zmażę grzechy familii... Dawajcie panie listy...

Szambelanowa zapytała zdziwiona:

— A zkadże pieniądze?

— W przeznaczenia wyrokach stało. abym jechał... rzekł Karol. Dla tego pozawczoraj Fortuna, która się zwykle niegrzecznie do mnie obraca, jakby mi za sobą zabłocony ogon nosić kazała, tym razem zwróciła się do mnie twarzą... Twarz jej ma fizyognomię hollenderskiego dukata! Ładna bardzo. Wygrałem trochę.. i nie wątpię, że los to mi dał. abym mógł się dla Ady poświęcić...

Śmiały się obie panie słuchając, Karol się kręcił niecierpliwie i powtarzał:

— Jadę — jadę — jadę!

Trzeba było uwierzyć.

Szambelanowa mająca słabość do niego, znajdowała. że miał złote serce; a panna Dyakowska nie zaprzeczała temu, ubolewając, że głowa nie była z tego samego kruszczu.

Zasiadły do listów, a wieczorem przed herbatą zaszedł Karol po listy. Był niecierpliw, tak pilno chciał już ruszać w pomoc pięknej kuzynce..

Ada rozrywała się jak mogła, najwięcej muzyką, aby czas skrócić nieznosnie długi, i pozbyć się Hortensyi, która muzyki znieść nie mogła. Właśnie Ruba-

szek grał jej coś wielce poważnego w poobiedniej godzinie, gdy kamerdyner wszedł oznajmując o przyjeździe pana Karola i zapytując gdzie go ma postawić? Przybycie to zdziwiło mocno Adę, ale miłe jej było — przerywało nudę, odrywało od Hortensyi.

Kazała w dawnym jego mieszkaniu postawić kuzyna, i powiedzieć mu, że na niego czeka w salonie. Karol ledwie się trochę przebrawszy, pośpieszył.

Nikogo nie było. Ada podeszła ku niemu poważnie, ale z uśmiechem.

— Jakiż to wiatr szczęśliwy was tu przygnał?

— Moja dobra wola — odparł Karol — przybyłem umyślnie...

— Doprawdy!

— Tak jest — skłonił się Karol — najprzód z kondolencją nad stratą dwojga takich istot w salonie potrzebnych, jeśli nie w sercu — jak biedna Karusia i Mirosław — powtóre...

Tu zawahał się.

— Powiem odważnie — dodał — pan Robert odjechał!

Ada się zarumieniła.

— Tak, odpowiedziała chłodno — odjechał. Wezwał go ojciec... Dziwniejsza rzecz, że podobno wracać mu zabroniono, tak pan major nasze sąsiedztwo uważa za niewłaściwe dla syna towarzystwo...

— Czyż być może?

— Zdaje się, że tak jest!

Spojrzał na nią pan Karol wzrokiem pełnym współczucia...

— Niezmiernie mi żal tego pocziwego Roberta — on tam się zateśni, zamrze, zamęczy...

Ada spoglądała w okno.

Szelest sukni ozuajmował nadejście panny Hortensyi, która śpieszyła dowiedziawszy się o Karolu. wyciągnąć coś z niego, dowiedzieć się, a choćby przeszkodzić rozmowie.

— Cóż pan tu robi? zawołała zdumiona—oczom nie wierzę!

— Puściłem się w pogoń za panną Karoliną, którą mi porwał ten niegodziwy Oblęcki—rzekł Karol śmiejąc się... Jestem w rozpacz...

— Myślę, żeś pan powinien być szczęśliwy — wtrąciła Hortensya, — bo pannę oszczędził próżnego balamuctwa... i może go wyręczył.

— Ale—masz pan listy?

— Mam, rzekł Karol — bo jadę wprost od stolika wista babci — która zasyla najpiękniejsze ukłony...

— Jakże przyjęła wiadomość o nieszczęściu Karusi? pytała Hortensya.

— Z prawdziwem współczuciem. Któżby mógł inaczej!...

— To szczęśliwie dla niej—dorzuciła Hortensya—bo przynajmniej w krótkim czasie, gdy będzie szukać musiała schronienia, znajdzie je u rodziny.

— U mnie pierwszego zawołał Karol pół żartem—przebaczę jej przeniewierstwo i przyjmę jak marnotrawną synowicę...

Mimowolnie Ada się uśmiechnęła.

Przy tem smutnem jej usposobieniu, Karol był doprawdy pożądanym. Szczebiotał, żartował, nie dawał się zamyślać—ostudzał...

Wszyscy go tu witali przyjacielsko, a pułkownik szczególnie. I on rachował na to, że dystrakcyja się przyda.

Karol z czem innem przybył i dalej sięgał śmiałymi myślami. Chciał służyć czynnie Adzie, nie wiedział tylko jak ma do tego przystąpić, jak się jej narzucić.

Wieczorem, znowu Rubaszek grać musiał. Ada siedziała milcząca, z rękami założonemi—i prosiła co raz o coś nowego, aby mówić nie być zmuszoną... Rozeszli się dnia tego bez ponownej rozmowy—a z salonu pod rękę ująwszy pułkownika. Karol go na folwark odprowadził.

Co to się u was porobiło?—spytał — co się z Robertem stało?

— Major dziwak — rzekł Brandys.— W głowie mu się coś ubrdało... nie wiem. i syna ztąd wyrwał...

— Przywidziało mu się — co? — zapytał Karol — mów otwarcie — pułkowniku..

Brandys spojrzał.

— Jakby to panu mówić potrzeba!

— Masz słuszność—rozmiał się Karol—wiem o co mu chodziło — ale przepraszam cię za kolegę twojego pułkownika — to człek postrzelony! Wydało mu się, że Robert kocha się w kuzynce — mógłby być coś dlań szczęśliwszego niż pozyskać serce. a może i rękę takiej kobiety?

— Prawda? — podchwycił Brandys — prawda? i jać to mówię. Szalony człek, duma szlachecka!

— Między nami pułkowniku... jak ci się zdaje? miało to podstawę??

Zagadnięty począł cygaro ogryzać...

— A panu jak się zdaje? — szepnął cicho: — he? co?

— Szczerze i otwarcie — zdaje mi się, że oni się chyba kochają — i że Ada pierwszy raz w życiu... biedaczka, uległa uczuciu, któremu się broniła długo.

— No, to ja powiem panu teraz — że — i ja tak myślę...

— A no—kochany pułkowniku! Oni sobie rady nie dadzą! Słowo ci daję. I ona ma swą dumę, i major swoją. Może trwać wieki ten upór. a gdy się będą mogli pobrać, nie będzie już po co. My, ich przyjaciele — radźmy!

Pułkownikowi aż oczy zajaśniały.

— Crè nom d'un nom! — zawołał — to mi z was człek. Jabyim za moją dobrodziejkę. i dla jej szczęścia życie dał. ale cóż tu począć? co?

— Zmiłuj się—jasna jak na dłoni—krzyknął Karol. Oni będą z sobą szczęśliwi, możemy z czystem sumieniem działać... Jam gotów—nic nie mam lepszego do roboty...

— No — ale cóż? ale jak? Nawracać majora?

— A! ktoby go tam próbował nawet przedysputować!..— zawołał przybyły.— Tu jedna jest rada — jechać, Roberta zbuntować, zbałamucić, ślub przygotować, a gdy we dwoje potem do ojca przyjadą — byłby kamiennym gdyby się oparł...

Brandys począł ścisnąć Karola, tak był ucieszony jego pomysłem.

— Tak — ale na ślepo, bez jej woli... a nuż? a któż ją wie?

— Spenetrujemy jej wolę—rzekł Karol—a to wiem, że działać trzeba... Ja się poświęcam—choćby mi się z majorem strzelać przyszło...

— A! strzela jak sztukmistrz!—zawołał pułkownik. Na ostrzu noża kule przecina...

— A no—ja też nieźle—spróbujemy się gdy będzie potrzeba — śmiejąc się odparł Karol.

Tak się zaczęła rozmowa, która trwała do późnej nocy. Brandys dał się przekonać — jednak radził wprzód próbować rozmowy z Adą.

Na śniadanie przybył kanonik — o rozmowie tej więc myśleć nie było można. Ksiądz-hrabia korzystał z oddalenia Roberta nsiłując dawną przewagę odzyskać nad umysłem gospodyni. Mówiła z nim chętnie po całych godzinach o sprawach kościoła, o potrzebie niezmiernej rozbudzenia uczucia religijnego, które gasło pod wpływem sceptycyzmu przerodzonego w obojętność i zastygnięcie. Brała do serca tę sprawę, gotowa była zawsze do ofiar dla niej, ale kanonik mógł dostrzedz, że nie tak jak dawniej — gdy sama czynną być chciała i poświęcić się—teraz środkami tylko, jakie miała do rozporządzenia, działać była gotowa. Szczytne owo powołanie mistrzyni jakiej wielkiej instytucji. mającej kształcić niewiasty na przyszłych pokoleń matki — już się jej nie uśmiechało. Mówiła że sił nie czuje w sobie ku temu... Kanonik z wielkim taktem działał powoli, wiedząc z dawnego doświadczenia, czem i jak na umysł jej żywy mógł wpłynąć. Pa-

miętał o tem, że i dawniej, gdy się wszelkiego wypierała uczucia, więcej na nią działały wrażenia niż rozumowania — że na imaginację więcej niż na przekonujące argumenta mógł rachować.

Z cierpliwością też i umiarkowaniem, szedł powoli krok za krokiem, zdobywając na nowo, co utracił w ostatnich czasach — a przekonując się codziennie, że łatwiej jest na świeży umysł wpływ wywrzeć, niż raz z drogi zbity i emancypowany odzyskać powtórnie.

Przyjazd Karola, który wiózł z sobą płochą rozrywkę, lekkie rozmowy, cały szereg innych pojęć — nie był na rękę duchownemu. Panna Hortensya tylko się pocieszała, że on tu wytrwać w surowej chłodnej atmosferze nie może, że nie należało mu ustępować — ale go zmusić do ustąpienia.

Trafiwszy na rozmowę poważną, Karol dowiedział, że z poszanowaniem słuchać umiał — dosiedział przy niej cierpliwy, aż zlitowawszy się nad nim Ada, zwróciła się ku niemu. Kanonik kilku słowy dokończył — i oddalił się nieznacznie.

— Niezmiernie mnie to obeszło — odezwał się Karol, gdy sami zostali — żem pana Roberta nie znalazł. Cóż to za kaprys?...

— Mówiłam wam — ojciec go powołał.

— Nieznośny ojciec! Ils n'en font jamais d'autres! — odezwał się Karol. — Pusto bez niego... ot tak. jakoś się nawykło było widzieć go tu. że mi brakuje tej pocziwej. uśmiechniętej jego twarzy młodzieńczej.

Ada zmilczała, spuściła oczy — potem je śmieiej podniosła na Karola.

— Dla czego o tem wspominałeś? — spytała — mów szczerze...

— Szczerze! to będzie trudno — śmiał się Karol — ale — na pół — tak...

— Nie. całkiem... — dodała Ada — nie lubię żadnych półśrodków i półsłówek...

— Ja także. A więc szczerze? — rzekł kuzyn. — Mówilem to dla tego, że mi się zdaje, iż i pannie Adzie po nim tęskno...?

— Czy panna Ada ma także być szczerą? — uśmiechając się rzekła gospodyni.

— Sądzę, że do tego zyskał prawo.

— A więc — ta Ada przyzna się panu Karolowi, że jej nie tylko tęskno — ale nawet bardzo przykro...

Trochę oczy spuściwszy, trochę zawstydzony się, podniosła je.

— Cóż chcesz? — mówiła dalej. — I ja nawykłam widzieć tę pocziwą twarz uśmiechniętą przy sobie. Był to mój wychowaniec niemal... Lubiłam go bardzo — odebrano mi go tak bez litości... i tak bez nadziei, że mi go powrócą.

Karol ciągle patrzył jej w oczy i dumal.

— Kochana kuzynko — odezwał się, gdy ciszej wymawiane słowa jej na ustach zamarły — trochę bo mam za złe pocziwemu nadto może Robertowi, że tak strasznie jest ojcu posłuszny.

— A! mój panie Karolu — przerwała, ty dawno straciłeś ojca, ty nie pamiętasz matki, ty nie wiesz co to jest węzeł ten święty, który dzieci z nimi łączy. Ja mu tego za złe nie mam...

— Ale to ojciec... ślepy i...

— Jest ojcem, dajmy mu — dodała Ada, chcąc wstać, aby trudną przerwać rozmowę. Karol ją wstrzymał.

— Mnie się zdaje — odezwał się, że sam ojciec kiedyś byłby za to wdzięczny, gdyby dziś — trochę mu syna zabuntowano... Ja taki jestem Don Kiszot w tych sprawach, że gotówbym się porwać... jechać...

Szybkim krokiem jakby go słuchać nie chciała, oddaliła się zrazu Ada, potem powróciła milcząca, stanęła przed nim, czekając co powie. Rumieniec wystąpił jej na twarz, czuć było, że serce biło, że się obawiała zuchwalstwa Karola i wdzięczna mu była za nie...

— Nigdy nie byłem w tamtych stronach. koło tych Żabliszek — odezwał się niby obojętnie Karol — mam wielką ochotę odbyć małą wycieczkę w te nieznane kraje! Któż wie! Spotkałbym się może z Robertem... Ręczę, że byłby mi rad... Mam taką odwagę Livingstonowską, że nie wahałbym się w oczy spojrzeć dziękiewu majorowi. Gdybyś mi kuzyneczko dała jeszcze jaki list introdukcyjny!

— Ja! a toby ci pięknie posłuszyło! — rozśmiała się Ada...

Do Roberta nie do majora! — poprawił się Karol. Ada zarumieniała się znowu.

Co wygadniesz? Co ci się śni, panie Karolu...

— Mówię co myślę — mam ochotę jechać do Żabliszek — a — co więcej — sądzę, że gdybym się tam dostał, Roberta przywiózłbym z sobą.

Zadrzała Ada i odwróciwszy się znowu poszła parę razy przejść po salonie... z głową spuszczoną.

— Nie rób proszę cię awanturniczych projektów — rzekła głosem słabym — to tylko drażni... A z tego nie być nie może.

— Jakto nie może? — podchwycił Karol gorąco — ja za skutek ręczę... ale, trzeba by mi dać pełnomocnictwo, i zaufać...

Ada odeszła zniecierpliwiona.

— To są żarty — rzekła po przestanku — a mnie żarty kołają jak pokrzywa. Nie lubię ich...

— Nie chcesz być ze mną otwartą i szczerą — odezwał się Karol — nie będę się narzucał; powiem ci tylko naprędce, bo słyszę nadchodzącą pannę Hortensję, że przybyłem tu nymalnie, aby ci służyć — i gotowem... się zaawanturować.

Na odpowiedź nie było już czasu, w istocie panna Hortensya nadchodziła. Pomimo całej swej przenikliwości, nie mogła się ona domysleć planów pana Karola, posądzała go o wcale inne — o próbkę wkupienia się w serce i łaski pięknej Ady. a temu sobie z całych sił obiecywała przeszkadzać...

Zwrócono rozmowę na panstwa Obłęckich, domyslać się. wnioskując gdzie oni podziąć się mogli, kto im mógł ślub dać i jak sobie radzili. Panna Karolina miała po prawdzie parę tysięcy złotych, darowanych jej przez Adę, Obłęcki zaledwie drugie tyle... Z tem można było wyżyć kilka miesięcy — lecz, dalej?

— Jestem prawie pewna — odezwała się Ada — że Obłęcki teraz dopiero zostanie artystą: będąc zmuszony trzymać się na wodzy... Miłość dla Karusi uczyni go takim...

— Rzemieślnikiem! — zawołała Hortensya.

— Nie—dosyć jest wykształcony i ma talent... trochę rzemiosła mu nie zaszkodzi — mówiła Ada — miał go dotąd za mało.

Karol także tak myślał, Kassandra Hortensya prorokowała najokropniejsze następstwa i zaręczała, że widzi już jak po roku Obłęcka z dzieckiem na ręku powróci do Ruszkowa.

— Przyjęłabym ją całem sercem — zawołała Ada — i może być pewną, że we mnie zawsze znajdzie się strę...

— Ty bo lubisz być siostrą! — z przekąsem, ledwie dosłyszalnym głosem, szepnęła złośliwie Hortensya.— Nie byłaś dla niej dawniej zbyt czułą.

— Tak—bom chciała zbyt jej rozczulanie się pohamować. Teraz! znalazłaby we mnie współczucie...

— Znajduję, że i w tem i w wielu innych twych przekonaniach i zapatrywaniach się — jesteś od niejającego czasu wielce zmienioną.

— Bardzo być może — potwierdziła Ada.

— Kanonik to także znajduje — dorzuciła Hortensya.

— I ma słuszość—spokojnie odrzekła Ada — bo ja to czuję sama...

Na to niepodobna już odpowiedzieć było, a Karol, chcąc weselej to obrócić, dodał:

— Żeby panna Hortensya wiedziała—jak ja—ja nawet — zmieniłem się nadzwyczajnie. Teraz kolej na

panią, abys w nowej metamortfozie ukazała się nam swietnym motylem.

— Dziękuję—zawołała Hortensya—byłam więc poczwarką?

Karol się po ustach uderzył i wyciągnął rękę, domagając się jej dłoni. aby na niej złożył przeproszenie. Nie dała mu jej obrażona... lecz rzut oka groźny przyobiecował zapłatę.

Ada, aby się nie śmiać, usta ścinała i chodziła po pokoju...

I znown dzień tak do wieczoru przeszedł zwykłym trybem; nowy tylko żywioł przyniósł z sobą Karol, który przy każdej zrzeczności coś wesołego i płochego umiał wtrącić.

Następnego dnia. gdy dla braku zajęcia Karol wdał się z Habichtem w rozprawę o roślinach, dowodząc mu, że można było drzewa sadzić do góry korzeniami, a w ziemię gałęzmi, i że w takim razie następowała metamorfoza jednych na drugie—przeciw czemu ogrodnik się oburzał—nadeszła panna Ada... Ożywiona była bardzo... Kwiatki ją zajmowały. przysiadła do nich, chwyciła doniczki, kazała sobie niektóre przysłać do pokoju. Karol postrzegł, że niezwykle była rozgorączkowana. Nie domyślał się, że tego ranka właśnie pułkownik jej list Roberta drugi czy trzeci odesłał.

Brandys pośredniczył w tej korespondencji w sposób nader delikatny. Listy odsyłał, nigdy o nich nie mówiąc nic—jakby nie wiedział od kogo są i zkąd się wzięły. Ada mu o nich też nie wspominała—i była wdzięczna, że jej oszczędzał rumieńca.

List Roberta wlał w nią to życie nowe. Z niego się trudno było dowiedzieć co więcej nad to, że kochał i tęsknił. Strzegł się o ojcu pisać, obwinać go, narzekać nań... O sobie mówił mało, serce tylko wylewało się w liście i tęsknota... i nadzieje. Ada zaraz po odebraniu go z rana, siadła odpisać — dodając mu męztwa... Chciała być prawie wesołą w tej odpowie-

dzi. ale tęskne to były dowcipy... Żądała od niego opisu wioski, domu, pokoju... i całego dnia jednego od rana do wieczoru... Mówiła mu, że chciała być myśłą z nim, a nie umiała odgadnąć co go otaczało...

List ten zaledwie wyprawiła na pocztę, pobiegła do ogrodu, weselsza daleko niż wczoraj. Karol był rad bardzo, że ją spotkał samą, chcąc na nowo przerwając zawiązać rozmowę. Z razn było to niepodobieństwem. Habicht i kwiatki zajmowały ją całą.

— A pan lubisz kwiaty?—spytała..

— Ja? właściwie—jakby to powiedzieć—rzekł Karol — ani ich lubię, ani się nimi brzydzę. Wolę owce! Kwiatki szanuję jako ich obietnicę..

— Prozą jesteś—śmiejnęła się Ada..

— Proza, kochana kuzynko —mówił Karol—potrzebna jest na świecie dla równowagi. Gdyby samej poezji świat był pełen, wywróciłby się— My, proza, stworzeni jesteśmy na to, aby nani poezya żyła .. Skromna rola—ale potrzebna..

Tak rozmawiając wyszli z inspektów i skierowali się ku pałacowi.

— Zwiedzałem dziś pustą pracownię Obłęckiego—począł Karol... została ona w tym stanie, w jakim ją biedny artysta osierocił... Na jednej ścianie ogromna osła głowa będąca jego własnym wizerunkiem... na drugiej anioł lecący z osłoniętą twarzą... Przez zasłoneę poznać w nim można niiby rysy Karoliny. Zgrozą mnie przejęło jedno—dodał Karol—wizerunek niezmiernie przypominający pannę Hortensyę, która artysta pojął jako - Harpię..

— A!! rozśmiała się Ada..

— Musiał te nowe dodatki w pracowni na murze w ostatnich dniach chyba, silnie rozdrażniony porysować. bo dawniej ich nie było..

— A mnie tam nie znalazłeś pod jaką postacią? — spytała Ada..

— Nie—Obłęcki miał cześć dla was... i wątpię, żeby śmiał tknąć ideał..

— O! ideał! — trochę nachmurzona rzekła Ada: wiesz dobrze jak mało nim jestem... Czuję się wielce śmiertelną i ułomną istotą!

— Sąd nam zostaw — przerwał wesoło Karol. Ale ja—korzystam z tego, że zdajemy się być sami...

Obejrzał się do koła... w istocie nie było nikogo.

— Chciałbym uparcie wczorajszą moją na nowo porządkować rozmowę. Myslę jechać do tych Żabliszek... możebyście mi dali jakie polecenia?

— Piękne ukłony...

— Jestem ciekawy majora—stosunku jego do syna, Robertowego oblicza... i będę go srodze buntował! Z góry zapowiadam... Tak ufam sile mej wymowy, potędze argumentów—iż mi się zdaje, że Roberta tu nadzad przywiezę — ale żeby nam znowu nie uciekł. proponuję środek niechybny. Ożenim go tu — choćby z panną Hortensyą.

— A! to uciekłyby niezawodnie! śmiejąc się rzekła Ada...

— Ożenimy go z kim innym—słowo daję...

Rusząc ramionami. przodem iść zaczęła ku pałacowi gospodyni.

— Jak już jesień czuć w powietrzu!—odezwała się.

— Jesień — to właśnie pora. gdy się nas pocziwi kmiotkowie. którzy teraz są bardzo w modzie — żenić zwykli...

Po długim dosyć milczeniu. Ada odwróciła głowę ku idącemu za nią Karolowi; nie widać było gniewu na jej twarzy... Karol rwał liście z drzew i bawił się nimi.

— Jak się kuzynce mój projekt podoba? — zapytał...

— Jaki projekt?

— Ażeby go tu przywieźć i—ożenić.

Ruszyła ramionami i szła dalej.

— Mówię seryo — kończył Karol. Mnie się to uśmiecha. Raz w życiu zrobiłbym coś dobrego—miał-

hym dużo krzątający. trochę intrygowania... nieco komedyi do odegrania. Wszystko to są pożądane intermezzy w takim nudnym życiu jak moje...

— Więc to tylko przez egoizm... dla zabawy rzuciłbyś się w tę kąpiel gorącą?—zapytała Ada...

— We wszystkich uczynkach ludzkich jest to ingredyencya sine qua non. Czy czuć ją czy nie — a jest. Ale mam szlachetniejszą pobudkę do obszycia po wierzchu egoizmu — miłość dla Roberta i jeszcze może dla kogoś...

— I przez tę miłość—chciałbyś go uwikłać w położenie fałszywe — narażać na nieobrachowane skutki...

— Skutki są obrachowane jak dwa a dwa cztery. kochana kuzynko. Zwykle się to odbywa takim trybem. Syn żeni się wbrew woli ojca... potem z synową jedzie go pięknie przeprosić—ojciec się rozczula, błogosławi, dają do stołu... i wszystko się kończy zdrowiem państwa młodych.

— W komedjach—odpowiedziała Ada—ale w rzeczywistości kończy się czasem wyparciem dziecięcia. długą męczarnią i złośliwym ludzi potępieniem.

— To się trafia kochana kuzynko — ja ci powiem kiedy—rzekł Karol idąc za nią ciągle:—naprzód kiedy szanowny ojciec ma kilkoro dzieci — powtóre, kiedy syn żeni się z ekonomówną, mającą w posagu krowę i kuferek...

Ada zaczęła się śmiać... Byli już w progu pałacu. na wschodkach do werandy wiodących. Stała na niej panna Hortensya. poprawiając czarne mitenki.

— Jakże mnie to cieszy—zawołała—że widzę Adę, po raz pierwszy—od—od—jakby to powiedzieć—ha! od ucieczki Karoliny — w tak dobrym humorze... Z wdzięczamy to Karolowi.

— Tak jest—potwierdziła Ada... gość to bardzo miły, przynosi z sobą choć trochę wesela...

— Myślę też, że pan Karol — nie bez pewnych idei weselnych tu pośpieszył — cicho do przechodzącego

szepnęła Hortensya,—ale mogę mu zaręczyć—że z tego nic nie będzie!

— A! rzekł zatrzymując się z ukłonem Karol—podziwiam przenikliwość pani! Odgadujesz tajemne myśli... dobywasz z piersi mych tajemnic! Co za cudowna siła!

Rozśmiał się dziwnie, tak, że panna Hortensya się zmieszała, i odszedł w ślad za Adą.

Od tego momentu, powziąwszy jakieś podejrzenie, panna Hortensya pilniej zaczęła go szpiegować. usiłowała podsłuchiwać — lecz mimo wielkiej w tej sztuce biegłości, ani słówka pochwycić nie mogła. Słyszała tylko niezmiernie ożywione rozmowy między Adą a Karolem. tak że zdała się jej sprzeczkami wydawały, potem ciche narady, czasem śmiechy...

Przeczuwała, że coś się tam osnuwało, działo, czego ona dojść nie mogła. Niekiedy posądzała już kuzynkę o niestałość, o zmianę uczuć, zajęcie się Karolem — lecz choć byli z sobą bardzo dobrze i poufale, tych znaków. po których rodząca się i rozwijająca, choćby tajona miłość poznać się daje — nie pochwyciła. Ze swej strony. ile razy się znalazła sam na sam z Adą, nie omieszkiwała okrywać Karola to śmieszością, to pogardą, szeroko się rozwodząc nad jego przeszłością i brakiem charakteru...

Kuzynka ujmowała się za nim. ale w tych sporach nie było żywego zajęcia. jakie sprawa wybrane-go obudza. Ada zbijała chłodno zarzuty, lub milczała roztargniona.

Hortensya malowała go jako wielce niebezpiecznego człowieka, z czego tamta uśmiechała się tylko. Wszystko to gniewało intrygantkę i pobudzało do nowych a coraz nieszczęśliwszych kroków.

Rozgniewana powiedziała raz wręcz Karolowi:

— Wiem, z jaką myślą tu przybyłeś — ale mogę ci zaręczyć. że z nią sobie i z harbuzem odjedziesz nazad... Przez samą miłość dla Ady, po świeżej kompromitacyi jej—nie godzi się na to pozwolić! Miałoby to

minę, że potrzebowała się wydać gwałtownie i wzięła... takiego pana Karola...

Rumieniec wytrysnął na twarz rozniewanemu, który o mało nie wybuchnął,—po namyśle jednak rozśmiał się, popatrzał na nią, ruszył ramionami — i odszedł.

Pobyłt pana Karola w Ruszkowie trwał tydzień z okładem. Jednego dnia po rozmowie długiej z Adą, pan Karol oświadczył przy obiedzie, że nazajutrz wyjeżdżać musi.

Hortensya się zdziwiła, nie wiedząc czy to było skutkiem jej zabiegów i zwątpienia, czy—jakimś podstępem. Nie umiała też sobie wytłómaczyć dobrego nadzwyczaj humoru Karola — czy był udanym dla pokrycia klęski, czy prawdziwym... Na twarzy Ady widziała jakby zamyslenie, wahanie się, niepewność, obawę... równie trudne do zrozumienia. Tajemnica ją gniewała. Wyrzucała sobie samej, że nieostrożnem postępowaniem była jej przyczyną. Widziała teraz, że należało jej nie wypowiadać Karolowi wojny, a szkodzić mu potajemnie. Poprawić się było za późno.

Przez cały czas pobytu Karola, kanonik był na czatach—ale trochę z daleka. Wyjeżdżał do dekanatu, wracał, przypatrywał się; czasem przysiadł do rozmowy, i pilno obserwował wszystko.

Zdaje się, że równie jak panna Hortensya—mógł mógł rozumieć. Był tego zdania w końcu, iż przybycie pana Karola było prostą próbą nieudaną, do której żadnego nie można było przywiązywać znaczenia.

— Ja się nie obawiam dla niej pana Karola—uspokajał Hortensyę — elle a l'esprit trop élevé, aby w nim zasmakować mogła. Nie ma też powierzchowności, któraby niebezpieczną była dla instynktów zmysłowych. Wierz mi paui — w tem wszystkiem nie ma nic, coby zastraszać mogło.

— A te długie na osobności poufne rozmowy?

— O! szukanie dystrykcji! nic więcej. Widzisz pani sama, że sentymentu śladu nie ma...

Panna Hortensya szła w swych domysłach tak daleko, iż prawie ich nie śmiała kanonikowi powierzyć... Kazała mu je odgadywać... Kanonik na to z oburzeniem i ruchem ręki odtrącającym odpowiadał, nie chcąc tych przypuszczeń ani nawet nzwzględnić...

Na to panna Hortensya z pokorą schylała głowę.

Dnia, na który podróż pana Karola była zapowiedziana, znowu długa jakaś rozmowa w pokoju przytykającym do apartamentu pani, zwróciła uwagę i ciekawość Hortensyi. Wyszli z niej poważniejsi niż zwykle. Ada prawie zasepiona — lecz dla Karola okazała nadzwyczajną uprzejmość. Nie pogniwiali się to pewna — a rozstawali jednak podrażnieni. Co to znać miało? Karol był wesół i wcale nie zakłopotany... Napróżno sobie kuzynka głowę łamała...

Na drogę z nadzwyczajnem staraniem wyprawiono gościa, jakby kogo z domowych. Uderzyło i to pannę Hortensyę, że zamiast jechać do Warszawy wprost. Karol z pułkownikiem gdzieś jeszcze w bok się udał, a dokąd? dowiedzieć się nie było podobna...

Dopiero w kilka dni badając ludzi, doszła panna Hortensya, że Brandys zawiózł pana Karola na polowanie do Zahajów, gdzie w towarzystwie nowego ekonoma spędzili godzin kilka.

Trudne i to było do zrozumienia, że w Rnszkowie o polowanie łatwiej było, niż na małym folwarku, a towarzystwo jakiegoś pana Burakowskiego — tak dalece pojętem nie było. Tymczasem ludzie zapewnili ją, że z tym ekonomem pół dnia po lesie chodzili...

Po wyjeździe Karola — zwróciła kuzynka pilne oko na Adę... Znała ją dość dobrze, by z niej wyczytać, po za tem co było przybrane — rzeczywiste jej usposobienie! W milczeniu przypatrując się jej — znajdowała smutną, zadumaną, podrażnioną, lecz w inny sposób niż wprzód. Tam była rezygnacya, teraz się

przebijała niecierpliwość trwożliwa... Co kilka dni następował rodzaj paroksyzmu i rozweselenia — tak regularnie, iż przebiegła panna Hortensya przyczyn się jakichś musiała domyslać. Zaczęła śledzić. Dni te ożywieńsze przypadały na pocztowe!!

Idąc dalej — doszła kuzynka. iż do pułkownika, jego ręką adresowany zwykle przynoszono list jakis spory, który odebrawszy Ada się zamykała, a gdy potem wyszła, oczy miała pełne blasku i twarz zarumienioną. Domysliła się, że Brandys być musiał pośrednikiem korespondencyi. Doszedłszy do tego, panna Hortensya, przy pierwszej zręczności, udając wtajemniczoną, dała mu uczuć, że wie o tem. Rachowała na dobroduszość Brandysa, lecz zawiodła się na niej. bo ostrożny stary wiarus nadzwyczaj naiwnie udał, że nie wie o co chodzi.

— Jakie listy? co? posyłam pani dwa razy na tydzień rachunek kassowy... zapieczętowany, boć nie trzeba. aby tam każdy nosa wtykał...

Odprowadzona z niczem, panna Hortensya, przez służące starała się — niby dla marek pocztowych — o koperty. które Ada wyrzucała.

Są takie stany ducha — w których intryga, szpiegowstwo, stają się pokarmem. co jedynie nasycić może. Odpowiadają one tym nienaturalnym gustom dzieci. które jedzą lak i kredę. Panna Hortensya miała właśnie tę chorobę, że brzydkimi rzeczami żyć była zmuszona...

Koperty... które przyniesiono jej na żądanie... były zupełnie niewinne... Na żadnej z nich nie znalazła ręki Roberta, którą znała... Lecz jak sobie wyobrazić mogła, że ktoś zakochany, kawałek papieru, który ręką droga dotknęła, wyrzuci do koszyka, na śmieć? Panna Hortensya. choć miała może doświadczenie dawne — zbyt już daleko znajdowała się od tych lat młodości... by symptomata wszystkie przebytej choroby mogła zapamiętać.

Smutno jej było biedaczce! Chciała wyjeżdżać — i nie miała odwagi...

— Jak się to wszystko skończy? mówiła do siebie — jestem niezmiernie ciekawa...

Kanonik miał nadzieje najlepsze. Mimo wielkiego rozumu, doświadczenia, znajomości ludzi — nie był w stanie walczyć z kobietą i zrozumieć jej. Spokój, z jakim Ada długie godziny spędzała z nim na rozmowie o najpoważniejszych przedmiotach, był dlań rękojmią serca już rozkutego z więzów i przywróconego pod panowanie rozumu.

Niecierpliwił się podejrzeniami Hortensyi, a niekiedy przestrzegał ją, że mogła zawinąć zbyt złemu wyobrażeniem o bliźnim. Naówczas panna Trocka milczała pokornie, słuchała nauki — ale jej to wcale nie uspokajało. Ada była dla niej zagadką. Wiedziała o jej fantazyi dla Roberta... naocznie się przekonała o blizkich stosunkach — nie mogła zbadać ich natury... Raz obawiała się, aby przed ołtarz nie zaprowadziły, to znowu pewna była, że dumna i nawiążyła do niepodległości Ada, rozmyśli się i — skosztowawszy zakazanego owocu — odrzuci go ze wstrętem — powracając do dawnego życia. Z sobą były zawsze jednakowo. Ada okazywała się dla niej łagodną, powolną, przebaczącą aż do zbytku co upokarzało i gniewało Hortensyę... Nie mogła jej niczem doprowadzić do sporu, do jawnego okazania sobie niechęci...

Chciała wyjeżdżać — ofiarowano się jej podróż ułatwić; namysliła się pozostać — przyjęto ją chętnie. Dogadzano jej kaprysom — a Ada nawet, gdy złośliwe przyczinki doprowadziłyby każdą inną do niecierpliwości, ledwie zarumieniona odpowiadała na nie milczeniem.

Wszystkie usiłowania majora, aby syna wyprowadzić z tego stanu odrętwiałości, który jego wiekowi nie był właściwy i kazał się domyślać cierpienia — nie powodziły się. Okazywane przywiązanie najczulsze, znajdowało go wdzięcznym, czułym, ale milczącym i zaunkniętym.

Major się więcej gniewał na siebie niż na syna. Rachował na czas, dni upływały bez zmiany najmniejszej, tyle tylko, że Robert coraz bardziej pogrążony był w zadumę i smutny.

Jazyga pojechał do Erdziwiłła.

— Słuchaj ty stary — rzekł siadłszy pod kasztanami — a żebyś ty jego wziął na spytki? Możeby się on wypowiedział przed tobą? he?

— Wątpię — ale popróbować mogę! bąknął siedzia... Tandem to zła zawsze droga, do własnej stodoły, przez cudze jechać podwórze...

— Otwarcie z nim mów!

— Czegoż ja się od niego dowiem? że się kocha? a dalej?

— Powiesz mu, że do trzystu fur, z tego nie być nigdy nie może. Nie dopuszczę mu na fartuszek siedzieć i w pana się bawić cudzym kosztem. To dobre dla gołych książąt, dla tych pseudo-hrabiów i hrabiczów, co za konfitury godność ludzką oddają — ale nie dla nas, drobnej szlachty... Nie! My wolimy razowy chleb i rzepe a... z honorem.

— Ja mu tego nie powiem, bratku, tak ładnie jak ty — począł Erdziwiłł ruszając ramionami. Posłuchaj ty mnie i łaj potem... Ja przekonanie od twojego mam odmienne. Supponuję, że się dwoje ludzi co się zowie tego kocha... i duszą i ciałem... Jedno gołe, a drugie złotolite... Więc dla tego, że tam kupka złota koło niej leży... to mi się zbliżyć nie wolno?

— A! nie wolno! nie! krzyknął major — wara.

— No... lepiej. żeby skisli oboje, poschli, pomarli...?

— El! el! z kochania! kto to widział!

— Ja! zawołał Erdziwił!

— Gdzie...?

— Niedaleko, w Żabliszkach, znałem pewnego majora, co gdyby się był z familiantką, której mu nie dawano, nie ożenił gwałtem, byłby sobie w łeb palnął. Sam mi to mówił!

Major się rzucił.

— To co innego było!... Tam... widzisz... tam nie szło o pieniądze...

— A ty myślisz, że tu o nie idzie? Twój syn ani myśli o nich...

— Ale go ludzie posądzają.

— A! jechał ich szesć bratku — porwał się sędzia — a niech sądzą! A jabym miał dla ludzkiego sądu głodem mrzeć i z pragnienia umierać?

— Tu nie o to idzie — przerwał major zbity i gniewny — ale mi dziecko z mojego świata, od mojego serca, z obyczaju pocziwego wyrwą w świat fałszu, obłudy... komedyi... Arystokracja patrzeć nań będzie jak na intruza... a szlachta plunie na apostatę.

— O ho! ho! fu! Daleko jedziesz, a zmyliłeś drogę — począł Erdziwił. Obluda — fałsz — komedia. prawda — a my to aniołowie? a u nas niema za to gburowstwa, pychy, zarozumiałości i głupoty? Kwita byka za indyka.. W jednym świecie garbaci. w drugim kulawi. dobrego żadnego nie ma.

— A ja mój wolę — krzyknął impetycznie major.

— I ja wolę — co prawda to prawda... dodał sędzia.

Zadychali się oba krzycząc — aż wmpocząć musieli nieco.

— Lampkę wiszniaku? majorze? — rzekł gospodarz.

— Niech cię tam i z wiszniakiem... wszystko się we mnie poruszyło!

— I we mnie! — odparł sędzia — właśnie dla tego wiszniak proponuję, aby to osadził. Nie ma na taki wypadek jak czegoś wytrawnego się napić.

Ale major chodził nadąsany po małej izdebce.

— Kawy? — zapytał gospodarz.

Jazyga ręką rzucił.

— Co tam chcesz.

— No—to wiszniak...—odparł sędzia idąc do szafy. Nie gniewaj się, nie bundziucz się... To nic nie może... Z synem pogadam — ale to się na nic nie zdało.

Major się nieco uspokoił.

— Ja bo więcej nic nie chcę—tylko, żebyś go wybadał—żebym wiedział, jak on tam w to błoto głęboko zapadł. Mnie to życie zatruje i ze świata zgładzi! ja ci powiadam... Ja go kocham nad życie—i dla tego mu się utopić nie dam. Lepiej, by przecierpiał, niż zginął.

Po gwałtownem wyszamotaniu się w pierwszym rozmowy początku. Erdziwił wszystkie swe argumenta wyszafowawszy, milczał teraz. Sędzia coraz to się obracał ku niemu, wyzywając go do dalszej rozprawy—a stary w wiszniak patrzył, smakował w nim i słuchał jakby nie słyszał, niekiedy głową potrząsając to na bok, to w tył, to naprzód—a nie odzywając się wcale.

— Więc cóż? — spytał major — czy już i gadać ze mną nie raczysz?

— Gadać—chętnie. Ale z tobą rozmowa przechodzi zaraz w spór, ja ciebie nie przekonam, ty mnie nie nawrócisz—po co się to zdało?

— Tak uważasz?... — bąknął major.

— Sam się zastanów.

Major tedy z lampką poszedł wdychając do okna. Sędzia ze swoją pozostał przy stoliku, i minut kilka zeszło na skupieniu ducha.

— Pogadasz z Robertem? wyegzaminujesz go? he? — wracając do pierwszego przedmiotu spytał major.

— Chętnie bratku — choć — to się ci na nic nie zda...

— Ale bo — niech się wygada raz... począł stary Jazyga, niech mi serce otworzy... Ja go o to zaczepić nie mogę—ignoruję też jego miłość, on mi się nie zwierza, — cierpimy oba... Raz się trzeba wyrębać i skończy.

Sędzia się zaśmiał.

— To znaczy, że ty jego chcesz porąbać—bo syn ci się bronić uie będzie...

— Nie—ale żeby choć się poskarżył, choć pisnął— a to chodzi jak zabity. milczy, błednieje, nie je—i—jeszcze mi gotów w suchoty wpaść. Matka miała do nich usposobienie — kto wie czy nie z tego umarła...

— To go nie męcz... Daj mu własną wolę!—rzekł sędzia.

— Nie mogę. Ma wolę we wszystkim co chce, tylko nie co do tego ożenienia, na które ja nigdy w życiu nie pozwolę. Jeżeli o nie chodzi... daremna rzecz... Nie może to być.

Sędzia dziwnie już głową i ramionami ruszał.

— Sam nie wiesz czego chcesz — rzekł...

— Ale wiem czego nie chcę — dodał major. — Nie-woli i upokorzenia—tego ja nie chcę...

W ten sposób kilka razy się starłszy z Erdziwillem, a w końcu ucałowawszy serdecznie i pożegnawszy jak najczulej, major powrócił. W progu zapytał, co panicz robił? Odpowiedziano mu, że jak zawsze, coś czytał... chodził po alei ku figurze... więcej nic.

Poszedł do niego i znalazł siedzącego w oknie, patrzącego w ogród, smutnego, bladego.

W istocie samej, wszystkie te wzruszenia, wstrząśnienia, niepokoje, ciągle go trawiąca gorączka

zaczynały na silną i zdrową naturę Roberta oddziaływać powoli. Czuł się chorym, osłabłym — brakło mu ochoty do czegokolwiek bądź... Nic go nie zajmowało. Zdrowie, na które wpływał stan ducha — cierpiało.

— Że też się ani przejdiesz, ani przejedziesz... ani do gospodarstwa nie zajrzysz! — rzekł major.

— Czy ojciec ma co do rozkazania?

— A! nie — ale chciałbym, abys ty sam o czem pomyślał...

Druhiego dnia z obiadem czekano na Erdziwilła; stary przybył zawczasu z apetytem i humorem należytym. Dwa te przynioty, któremi się gość powinien odznaczać, miał sędzia w wysokim stopniu rozwinięte — na zawołanie. Przy obiedzie Jazyga stary, choć napił się wina — choć się ruszał i gadał, pozostał kwaśny i zamyślony.

Gdy od stołu wstali, zmyslił jakąś potrzebę gospodarską, nie dając się w niej wyręczyć nikomu, i zostawił syna z Erdziwilłem.

— Co ty mi jesteś tak smutny? zadumany? posępny? spytał kładąc mu rękę na kolanie sędzia.

— Ja? ale mnie się zdaje, że jestem jak zwykle...

— A! nie — od powrotu z Zahajów — mówił sędzia — jesteś okrutnie zmieniony. Coś ci jest... Mógłbyś się wypowiedzieć przed starym przyjacielem...? a możeby się on na co przydał?

Robert serdecznie go uściskał, wstał z ławki, przybrał weselszą twarz — i zawołał:

— Ale, niech mi sędzia wierzy... nie mam się z czego spowiadać! Grzechu żadnego na sumieniu nie czuję...

Nigdy nie miałem zbyt wesołego temperamentu... tak jestem jak zwykle...

— Ojciec się kłopotze, żeś mu nie wesół, i że ci w Żabłiskach nie tak może dobrze i wygodnie, jakby on pragnął.

— Ale doskonale mi jest — prędko odparł Robert — na czemże mi zbywać może? Ojciec mnie aż nadto pieści...

— Możesz tam w Zabajach, albo koło nich kogo zostawić, po kim ci tęskno? — dodał sędzia.

Robert ramionami ruszył nic nie odpowiadając.

— To prawda — dodał po przestanku — że mnie tam gospodarstwo pierwsze jakie w życiu miałem, mocno zajmowało. Sąsiedztwo było miłe — ale ojcę się podobało odwołać mnie — wolę jego spełniać. Cóż robić?

— Co robić? Nie milczeć, ale się z ojcem rozmówić otwarcie — to człek poczciwy, kocha cię.

— Dla tego mu się sprzeciwiać nie chcę — zamknął Robert — i wnet usiłując zmienić przedmiot, zapytał sędziego o konia, którego miał na przyprzążce. Erdziwił mu w oczy popatrzył tylko.

Nie było sposobu dostać się do wnętrza zamkniętego człowieka. Erdziwił próbował kilkakrotnie i zawsze grzecznie został odprawiony z niczem. Więcej i otwarcie mówić nie chciał i w końcu dał pokój.

Major powrócił w godzinę i zaraz wziął przyjaciela na stronę.

— Mówiłeś z nim?

— Próbowałem po razy kilka — milczy, nie chce się przyznać do niczego...

— Było go przecież nacisnąć!

— Robiłem co mogłem — odpowiada na wszystko, że mu dobrze, że nic nie braknie, na nic się nie skarży. Przyznał mi się, że mu żal było gospodarstwa w Zabajach... boć to jego pierwsze pole... więcej nic.

— Gospodarstwa! ale! — przebaknął major. — Piękne tam było gospodarstwo...

Namarszczył się stary.

— A no — jak sobie chce musimy kwasić się i cierpieć oba... na to nie ma rady..

Sędzia milczał i poczał się hrać do czapki.

— Nie znajdujesz, że zmizerniał? — zapytał major.

— I bardzo... Dzisiajem się mu przypatrzył szczególnie. Żle wygląda.

— Możeby Paciorkiewicza sprowadzić? — dodał major—jak myślisz?

Erdziwił węża wydał.

— Jak chcesz.

Wspomniany tu Paciorkiewicz był doktorem powiatowym i w dodatku niegdyś kolegą Roberta w szkołach. Był to młody syn Eskulapa, cały rozmiłowany w swej nauce—ale dla niego pacyenci byli przedmiotem doświadczeń, a choroba—piękna i rzadka—w dobrym egzemplarzu, największem szczęściem! Nikt nad niego pilniej z większym zapaleniem i poświęceniem nie doglądał tyfusów, karbunkulów, difteritis i okazów chorób wyższej rangi — ale nikt nie lekceważył bardziej małych niedyspozycji i powszednich choróbek. Znało też jego naturę. Żwawy był, gorączka i chorach nie oszczędzał. Piękne panie spazmatyczne i kapryśne skarżyły się na niego, bo się z nimi obchodził nielitościwie.

— Co to za choroba? — mówił śmiejąc się do nich... To imaginacya! Pani jesteś zdrowiutenka. Trzeba się czem zająć... nie myśleć o sobie! Mieć więcej ruchu, a przybędzie apetyt...i... doktor nie będzie potrzebny...

— Przywieź Paciorkiewicza; mój sędzio — dodał major—ale jako przyjaciela i kolegę—i zapowiedz mu, że nie powinien okazywać tu, że go sprowadzono do chorego...

Posłuszny Erdziwił wprost z Żabliszek pojechał do miasteczka, i trafił na to, gdy po szczęśliwej amputacji nogi, która mu się udała nadspodzianie, Paciorkiewicz gwiżdżąc mył ręce... Zobaczywszy sędziego przeze drzwi z drugiego pokoju, poczał się śmiać.

— Czyż i pan sędzia chory jesteś?... Zlituj się! cóż to? niestrawność?

— A! na tem mnie nie złapiesz! Stary jestem i jem tylko to, czemu wiem, że dam radę. Ja ci za kuracyę płacić nie będę.

— Cóż? czy nie chora piękna gosposia pańska?

— Samo zdrowie! — rozśmiał się Erdziwił. i z tej pociechy mieć nie będziesz...

— A wiesz pan, że jabym ją chętnie wziął w kuracyę—zartobliwie paplał Paciorkiewicz, który na przywitanie wyszedł z ręcznikiem w rękę.

— Obejdzie się bez tej łaski! do nóg upadam...—odparł sędzia.—Ja tu w innym bardzo delikatnym przybywam interesie...

Paciorkiewicz ogromny. rozrosły, zdrowy. mężczyzna olbrzymiej siły, wesołej twarzy, oczu rozumnych—ocierając ręce stał ciągle przed gościem.

— Słucham!

— W krótkich słowach. Major Jazyga syna, który gospodarzył w Brzeskiem i pono się tam w bogatej jakiejś pannie zakochał gwałtem ztamtąd wyciągnął, obawiając się, aby broń Boże. za nadto bogato i arystokratycznie się nie ożenił.

— Oryginał! — szepnął doktor.

— Syn — waćpan znasz Roberta...?

— Kolega szkolny...

— Syn nadto potulny i posłuszny; ani słowa nie rzekłszy przybył. siedzi. ale wymizerniał, schudł. — Major mówi, że pokaszluje... Matka jego pono z suchot umarła. Ojciec w strachu. Chciałby, ażebyś go wybadał. ale.. przybywszy nie jako doktor, tylko jako przyjaciel i kolega...

Z góry ci jednak muszę powiedzieć, że major uparty. i że na kuracyę z pomocą matrymonium nie pozwoli...

Paciorkiewicz słuchając, kończył staranną ręką toaletę.

— Co tam doktor pomoże! — rzekł obojętnie. — U państwa lekarz do wszystkiego służyć musi... nawet

na choroby duszy i imaginacyę... na kaprysy ojcowskie i na zakochania...

— A no, tak—odparł sędzia—bo my doktora mamy w istocie za lekarza w najobszerniejszem znaczeniu wyrazu; a waćpan—z przeproszeniem — ogranicza go niemal do funkcyi cyrulika.

Paciorkiewicz podniósł głowę, popatrzał na zu-chwalca i zaświstał.

— Fiu! fiu! fiu! jaki mi pan tęgi jesteś! Doktoro-wi w jego domu prawie takie impertynencye! A niech-no dostaniesz gastryty... zobaczmy jak będziesz śpiewał...

— Nie myślę jej dostać — rzekł Erdziwiłł — dla te-go jestem taki zuch... No — coż mam odnieść ma-jorowi?

Paciorkiewicz poszedł do ściany, na której czar-na wisiała tabliczka, zapisana jakimś hieroglifami. Począł ją pilno przepatrywać milcząc...

— Możesz pan sędzia upewnić go, że niespodzianie do niego jutro przyjadę na obiad, i odegram moją rolę jak należy. Kochałem niegdy Roberta, chcę zoba-czyć co się z niego zrobiło.

Konsultacya skończyła się na tem.

Paciorkiewicz prosił na herbatę.

— Daj ty mi pokój — rzekł wstając sędzia — je-szczebys do niej jakiego dyweldreku namieszał... uszcząc się za verba veritatis... Przybywaj ju-tro na obiad...

Paciorkiewicz słowa dotrzymał, i drugiego dnia bryczka jego z dzwonkami, bo zawsze pocztą jeździł, zatrzymała się przed gankiem w Żabliszkach. Powi-tanie z Robertem było bardzo serdeczne. Doktor oświadczył, że dowiedziawszy się o jego powrocie, nie mógł się oprzeć chęci odwiedzenia dawnego towarzy-sza zabaw szkolnych, palanta i śnieżek... Oko jego tymczasem, nawykłe do szukania wszędzie oznak cha-rakterystycznych chorób, badało Roberta, ncho chwy-tało intonacyę głosu... Mimowolnie biorąc go za rę-

kę, trzymał ją więcej jako lekarz, niż jako przyjaciel. Nie przeszkadzało mu to być wesołym, żartować z majorem. opowiadać anegdotki i śmiać się z chorych, którym do zdrowia brakło tylko. aby je mieć chcieli. Robert z nim trochę poufalszy niż z innymi. nie otworzył mu się jednak z niczem. Trochę cyniczne pytania. zadawane na osobności. gdy poszli we dwóch do mieszkania jego. tylko kwasnemi zbywał półuśmiejami.

Paciorkiewicz zabawił tu dłużej niżeli zwykł był u chorych; przyjęty po przyjacielsku. wypoczął wygodnie, i dopiero po kawie poobiedniej, spojrzawszy na zegarek. ruszył się wołając o konie. Major nie miał zręczności z nim na osobności pomówić. a z twarzy nie poznać nie mógł. Lekarz nawykły mieć zawsze jedno dla wszystkich. nie zmieniające się oblicze, nic niem nie mówił nikomu, chyba to jedno. że był na wszystko obojętny.

Po wyjeździe jego Jazyga nie wytrzymawszy długo, nazajutrz sam niby do asesora, pojechał do miasteczka. Nie znalazł go w domu, wynudził się godzin kilka. i wracającego dopiero złapał w rynku.

— Jak znalazłeś Roberta? — zapytał major.

— Niebezpiecznego nie ma nic — odparł doktor — zdrow jest — ale to natura, na którą wrażenia działają silnie. Gwałtowne zmartwienie mogłoby. mimo jego dobrej budowy. podrażnić i wywołać familijne usposobienie do choroby piersiowej. Suchoty spadkowe mogą się wywinać pod dziwnym czasem pretekstem... trzeba unikać wszystkiego. co może organizm wstrząsnąć...

Paciorkiewicz mówił to więcej z przyjaźni dla Roberta, któremu pragnął służyć. choć ten mu się nie zwierzył wcale — niż jako lekarz.

— Cóż mam robić? — spytał zakłopotany major.

— Trochę go trzeba pieścić i nie dać mu się gryźć niczem. to moja rada — dodał Paciorkiewicz. — A — jeżeliby się przypadkiem zakochał — niech mu major da tę, którą sobie wybierze... a będzie zdrow.

To mówiąc skłonił się doktor i pośpieszył do domu. Major był najmocniej przekonany, iż przyjaciel Roberta działał w jego sprawie — i uspokoił się.

— Namówili się, filnty! ale i jam nie głupi!

Z tem wrócił do domu... Nie trwało jednak długo nspokojenie—dość było spojrzeć na twarz Roberta, ażeby dojrzeć cierpienie...

Przed sędzią Erdziwillem w trochę inny sposób, otwarciej się Paciorkiewicz wyraził: — że istotnie Robert nie jest dobrze—gorączki ma trochę, należałoby nie zwiększać jej niczem. Major posłyszawszy to, machnął ręką.

— Wszyscy się spiknęli jemu pomagać, a mnie straszyć...

Sam jednak coraz spoglądając na syna — chwila-mi lękać się znowu zaczynał. Milczenie i zasepienie jego było mu nieznosne.

Tak stały rzeczy w Żabliszkach, gdy jednego rana, przybył posłaniec z miasteczka z listem... Major z fajką siedział w ganku; oddano mu list. Był ręką nieznajomą adresowany do Roberta. Ojciec mu go zaraz zaniósł. Ciekawym był, lecz nie nastawał na poznanie treści. Syn z niej tajemnicy nie czynił i po-dał ojcu...

List brzmiał jak następuje:

— „Miałem przyjemność poznać pana dobrodzieja w Ruszkowie: przypominam się pamięci. Jego... Najdziwniejszy skład okoliczności w przejeździe przez tę okolicę zatrzymał mnie w zupełnie nieznajomej stronie, i zmusza w karczmie odbywać rekolekcyje... Wywrót z powozem i potłuczenie najmniej dni kilka jeszcze uwięzi mnie wśród tych piasków i borów litewskich. Przypadkiem dowiedziałem się, że pan mieszkaśz w tych stronach. Ratuj mnie! nudzę się tak, że gangreny dostanę z tych nudów... Gdybyś był łaskaw mnie odwiedzić.. a jeśli masz — przywieźć z sobą kil-

ka książek! Byłbym mu nieskończenie, niewymownie wdzięczny i t. d.

Karol....“

Major przeczytał list — i niemal się nim uradował. nie pytając już kto był ten pan Karol... Starodawna gościnność w takim wypadku nakazywała nieprzyjacielowi nawet służyć, a Jazyga nie podejrzewał wcale ani podróznego, ani opisu... Dla Roberta była to rozrywka...

Oddał mu pismo żywo, mówiąc:

— Konie ci każę zaprządz. jedź zaraz. weź z sobą co mu tam w karczmie braknąć może... Przynajmniej cię to trochę rozrusza.

W istocie z dawno już niepraktykowaną żywością skoczył Robert, wybierając się natychmiast do miasteczka. Major w bryczkę kazał włożyć i to co w istocie potrzebnem być mogło, i co się na nie nie zdało.

W niespełna pół godziny Robert był już na drodze, i choć nie mógł przypuścić nawet. żeby przybycie pana Karola było w jakim związku z jego ośbistemi stosunkami. cieszył się. że z kimś będzie mógł o Ruszkowie pomówić. Karol okazał mu tyle życzliwości. że zyskał sobie przyjaźń jego. Śpieszył poruszony mocno, konie kazał popędzać, i wpadł do austeryi. będąc pewien, że podróznego zastanie w łóżku. gdy — ujrzał go w szlafroku wprawdzie, ale wcale nieuszkodzonego i z twarzą, na której samo malowało się zdrowie.

— Cóż się to panu stało? — zawołał. — Czy posyłał pan po doktora?... Mamy tu właśnie poczciwego kolegę mego. którego natychmiast sprowadzić mogę...

— Ale to nie! nie! wywróciłem się, potłukłem — rzekł Karol szybko. — Nie mam zwyczajn żadnego nigdy używać lekarza — leczę się sam zimnemi okładami. Już mi jest lepiej znacznie... Nakuliwam tylko trochę na nogę. Serdecznie wdzięczny, że pan przybyłeś...

I ścisnął go prosząc siedzieć.

Robert nalegał o Paciorkiewicza, Karol się bronił.

— Uchowaj mnie Boże! woda zimna i homeopatya!

Ani jednego, ani drugiego nie był w istocie zwolennikiem pan Karol. ale w ten tylko sposób mógł tajemnicę zachować i niewydać się z tem, że pothuczony nie był...

Natychmiast zwracając rozmowę, sam począł mówić o Rnszkowie.

— Wiesz pan, że byłem tam niedawno — rzekł — już po jego wyjeździe! Zastałem tę biedną, kochaną Adę jakos dziwnie smutną i przybitą. Dotknęła ją ta historia z Karnsią, którą porwał niepocziwy Obłęcki — ale i pan masz jej tęsknotę na sumieniu.

— Ja!! — zawołał zasmieniony Robert.

— Sama mi to mówiła, że jej bardzo towarzystwa pańskiego braknie... Ale pan przecież powrócisz do Zabajów?

Robert się zmieszał nie chcąc tłumaczyć jaśniej.

— Prawdziwie, nie wiem kiedy — rzekł — ojciec sobie życzy, abym był przy nim.

— Trzeba się starać powrócić — dodał Karol. — Tymczasem mogę pannę o znajomych jego i przyjacielach wiadomości udzielić... Pułkownik zdrów... panna Hortensya zawsze się wybiera w podróż, która zapewne nie przyjdzie — na nieszczęście — do skutku... Kanonik miewa konferencye w salonie, których w skupieniu ducha słuchamy, ziewając po cichu... Rubaszek gra fugi... Habicht przesadza kwiatki i ziemię przesiewa... a nieszczęśliwa Ada chodzi po salonie, i sądzi, że nieraz wygląda czy się gość z Zabajów nie zjawi... Mówię pannę, jest bardzo smutna...

Jazyga ciągle się rumienił słuchając... nie miał zebrać na słowo odpowiedzi... Karol zapomniawszy się, że powinien był nakuliwać na nogę, chodził żywo po izbie, na co Robert nie zwracał uwagi, chwytając każde jego słowo...

Ile razy sobie przypomniał Karol, że powinien był być potłuczony, sykał i po trosze nalegał to na jedną, to na drugą nogę, lecz wnet zajęty opowiadaniem, poruszał się jakby się do skoków zabierał..

— Daleko pan ztąd mieszka? mówiono mi, że o półtorej godziny drogi?

— Dobrze jadąc i tego nie ma — odparł Robert.— Dopóki pan tu spoczywać jesteś zmuszony, ja i nasz dom jesteśmy na jego usługi. Cokolwiekby mu było potrzeba...

— Nic a nic—zawołał Karol — oprócz towarzystwa pańskiego. Wiesz pan, jak ja samotności nie lubię; spodziewam się, że mnie zechcesz odwiedzać...

Robert gotów był nawet nie odjeżdżać od chorego, ale na to on nie pozwalał; stanęło na tem, że obiegał się codziennie dowiadywać. Rozmowa o Ruszkowie rozpoczęta na nowo ciągnęła się już bez przerwy do wieczora... Bardzo zręcznie mówiąc niby o czem innem, knzynek malował położenie Ady, jej nudy i samotnienie... Wyrzywały mu się słówka dwuznaczne, które Robert mógł na swą korzyść tłómaczyć. Kilka godzin zbiegło im tak niepostrzeżenie, i Karol, który już wprzód był dobrze z Robertem, zbliżył się doń i sponfalił prędko. Umiał pozyskiwać serca, gdy chciał, a to było bardzo łatwe do zdobycia. Rozstali się do jutra, i Jazyga z głową pełną myśli i wspomnień, ożywiony jak już oddawna nie był, powrócił do ojca, który postrzegłszy w nim tak szczęśliwą zmianę, niewymownie się nią uradował. Nie miał żadnego podejrzenia, aby gość ten w jakimś celu zdradzieckim przybywał, — cieszył się, że ta dystrakcyja rozproszy posępność Roberta.

Zaczął się pilno rozpatrywać o Karola, którego Robert z najlepszej odmalował strony.

— Ale bo wiesz co! — przerwał major nagle — jeżeli tak bardzo potłuczony nie jest, a idzie mu tylko o wypoczynek... możeby go ostróżnie, noga za nogą, przywieść do Żabliszek... Pokójbyśmy mu tu dali, miałyby wygody wszelkie, wydobrzałyby.. a dla mnie

miłymby był gościem, boby mi może ciebie rozbawił. Proś go tu jutro—a nie, to ja sam z tobą pojedę—zabierzemy go do siebie...

Myśl ta opanowała majora, rano ubrał się starannie, konie zadysponował do koczna i sam napędził syna, aby jechać co prędzej.

— Co ma tam w tem karczmisku śmierzdzącem siedzieć! — czyż mu nie lepiej będzie tu odpocząć z nami?

Przez całą drogę na tę myśl nawracając syna, przejęty nią stary Jazyga stawiał się przed panem Karolem, wesół, serdeczny, — od razu napadając nań, aby jego chatą nie gardził.

Karol miał talent nastrajania się wybornego do ludzi, majora wnet poznał i ocenił, przemówić do niego umiał i od pierwszych słów go sobie pozyskał. Zaproszenie było dlań najpożądańsze, jednak musiał się z początku wymawiać i tem, że nie chciał robić subiekcyi, i pośpiechem w podróży tem i owem...

Major go musiał przekonywać, namawiać, prosić, lecz w końcu jakoś, kazawszy synowi prośby swe przyłączyć, udało się im pana Karola nakłonić do Żabliszek.

Tego dnia więcej na siebie dając baczenia, chory dobrze na nogę knął, podpierał się na lasce i rolę chorego odegrywał z naturalnością i talentem. Tylko ile razy go na Paciorkiewicza namawiać próbowano, chronił się za zimną wodę i homeopatję.

Parę godzin spędziwszy z nim major, niezmiernie go pokochał...

Karol w potrzebie również rubasznym umiał być szlachcicem, jak nieznośnym i ceremonialnym lwem salonowym. Nie kosztowała go nic zmiana roli. Z majorem zarywał czasem nawet na wysłużonego podporucznika...

— Ale to bo wysmienity człek!—mówił stary w duchu. To mi go tu Opatrzność zesłała żeby Roberta rozruszać—chłopiec jakby odżył od wczora...

Spakowano tłumoki gościa, którego major zabrac chciał koniecznie z sobą. Gdy przyszło siadać do powozu, o lasce wyszedł Karol, nakuliwając mocno. krzywiąc się; dwóch ludzi go wsadziło z wielkimi ostrożnościami, nogę mu podesłano... a woźnicy zalecono, aby jechał jak najwolniej i z uwagą...

Śmiać się musiał w duchu pan Karol. lecz poddał się tej troskliwości o zdrowie swoje... Przez drogę admiraował okolicę, położenie, pola, łąki, wiedząc. że tem się więcej wkupi w łaski majora, któremu Żabliszki rajem ziemskim się wydawały. Tak się dostali do dworku... i z pomocą majora. Roberta, sługi wydobyto z koczarni chorego, któremu się bardzo wyskoczyć chciało. Najlepszy pokój obok Roberta przeznaczono dla niego — wszystko było na zawołanie. Może być, że przyjmowany tak gościnnie uczuł niejaką zgryzotę sumienia — ale się mógł przed sobą wytłumaczyć, iż to była pła fraus.

Major w domu, zostawując młodzieź z sobą, sam marszałkował. bo mu bardzo szło o to, aby przed obcym nie powstydział się swego gospodarstwa. Czasem zachodził do gościa na gawędkę i pociągnięty jego dobrym humorem, swobodą i uprzejmością w obejściu, zasiadywał się przy nim dłużej niż chciał...

Nazajutrz zaraz, gdy sami pozostali, tak się jakoś złożyło. że pan Karol niby od niechcenia, szepnął staremu:

— Proszę pana majora—czy też pan nie zauważał zmiany w synu swoim? Ja od czasu jak miałem przyjemność go widzieć — może mnie oczy mylą... ale upatruję bardzo znaczną...

— Jak to? jak? — podchwycił major poruszony — w czym?

— Mizernie wygląda... i posępny jest jakiś — odezwał się Karol. Pan nie postrzegł tego?...

Uwaga ta mocno uderzyła starego.

— Pan dobrodzieju to widzisz?

— Może się mylę...

— Na nieszczęście zdaje się, iż nie mylisz się pan, ja widzę toż samo... Radbym był, żeby muie myliły oczy.

— Widocznie na zdrowie cierpi—dodał Karol...

— Sądziś pan??

— Tak mi się zdaje...

— Ja nawet już po cichu pytałem doktora — westchnął Jazyga—doktor plecie trzy po trzy...

Zadumał się smutnie...

Karol starał się zaraz czem innem zagadać, i na chwilę o tem zapomniano, ale w majorze postrzeżenie to utkwiło mocno.

Powróciwszy do swojego pokoju, siadł z fajką u komina i wdychał ciężko.

— Co tu począć? Z miłości nikt nie umiera — ale z tęsknoty się inne choróbsko gotowe przyczepić — i bieda!

Następnych dni ciągle się wpatrywał w twarz syna, a wyobraźnia podrażniona zwiększała jeszcze oznaki cierpienia, jakie widział na niej. Karol ciągle kulał jeszcze, a gospodarz prawie rad był temu, bo z nim jakoś tak dobrze było w Żabliżkach, iż mu o jego odjeździe pomyśleć było smutno.

Wieczorem siadali ze starym do maryasza lub ékarté. Robert albo im się przypatrywał, albo wychodził dla pisania listów, które codziennie jak dziennik przygotowywał na pocztę.

Naówczas gość puszczał się w opowiadania rozmaite, szczególniej historyi nieszczęśliwych miłości i ich fatalnych skutków. Major przeplatał je wspomnieniami półkowemi... Karol miał te powieści, które improwizował dla starego Jazygi, tak przybrać dobrze, iż się rzeczywistemi wydawały... Major dziwił się im, ale przeczytać nie śmiał. Czyniły one na nim wrażenie, o które opowiadający się starał.

Działanie to jednak było tak powolne i niezauważne, a ilekroć przyszło mówić o arystokracji i o małżeństwach, major tak energicznie wyrażał swe

przekonania. i stał przy nich tak uparcie, iż po kilku dniach Karol się wyrzec musiał niemal nadziei nawrócenia go, którą miał w początkach... Zaczynało go męczyć udawanie kulawego, a nawet pobyt w Żabli-szkach — przywykły był bowiem do zmian. do innego życia, i koniec końców. wszelkie poświęcenie się ma granice.

— Wdałem się podobno nie w swoją rzecz—mówił, wzdychając, położywszy się spać. Majora ani ukąsić. tak twardy... Trzeba zmienić plan i zacząć z innej beczki...

Znowu tedy zwróciwszy uwagę ojca na stan zdrowia syna — rzucił myśl. że młodzieniec potrzebował rozrywki. że byłoby lekarstwem gdzieś go wyprawić—naprzykład do Warszawy...

Major prychnął tylko.

— Gdybym wiedział, że mn to pomoże?

— Nie zaszkodzi pewnie. Ja i tak powracać muszę do Warszawy, niech mnie odprowadzi, zapoznam go z młodzieżą.

Zmarszczył się major...

— Ale bo to ta terazniejsza młodzież!

— Mogę go wprowadzić między młodzież nie terazniejszą—dodał Karol — ale słowo pamm daję. gorzejby to jeszcze było... Terazniejsza uczyła się ekonomii politycznej i po trosze medycyny... a dawna o obu wyobrażenia nie ma.

Rzuciwszy tę myśl, Karol dał jej kielkować... Po południu major go o to sam zaczął. Gdyby tak na niedłgi czas pojechał. powietrzył, rozruszał. możeby to i dobrze było.

— Jabyś służył za stróża i przewodnika — dodał Karol. Lepszego mieć nie może. Przeszedłem przez szkołę doświadczenia... wierz mi pan...

Następnego dnia major na osobności zapytał syna. czyby nie chciał pana Karola odprowadzić do Warszawy, i trochę się rozerwać? Robert. któremu ta myśl nie przypadała do jego planów, lekając się

przerwania korespondencyi—nie widział ani potrzeby podróży, ani w niej przyjemności.

Właśnie ten mały opór ze strony syna, majora skłonił do popierania projektu Karola.

— Namawiaj go pan na to—szepnął,—ja mu wspominałem—przyjął to jakoś niechętnie, a tu mi się zawędzi.

— Masz pan słuszość niech się rozerwie, dla młodego to najlepsze lekarstwo.

Tegoż dnia Karol, zszedłszy się z Robertem, szepnął mu na ucho:

— Ale jedźże pan ze mną do Warszawy! Jestem prawie pewien, że tambyśmy się z Adą spotkali...

— Sądziś pan?—zawołał, chwytając go za ręce Robert... czyżby to być mogło?

— Jestem pewien, że ją tam ściągniemy. Spuść się pan na mnie—i jedźmy...

— A noga pańska i potłuczenie?

— Nie czuję go już! Nie ma jak homeopatya!

— Rzeczywiście?—zawołał zdumiony Jazyga.

— Skutek bywa cudowny—powiadam ci. mógłbym dziś na konia skoczyć. Jedziesz ze mną?...

Zarumieniony Robert uściskał go tylko...

— Ale ojciec?

— Nie mamy najmniejszego obowiązku spowiadać się przed nim z naszych nadziei... szepnął Karol...

Cudowne uzdrowienie z pomocą homeopatyi o mało nie nawróciło na nią majora: a przynajmniej zachwiało silnie wyobrażeniem jego o skuteczności doz koniskich, które sam sobie zwykł był administrować...

Gdy jeszcze raz major się odezwał do syna, podając myśl jechania do Warszawy, ze zdumieniem znalazł go usposobionym do podróży. Ten skutek przypisał, równie jak homeopatya silnie działającym, argumentom nieoszacowanego pana Karola... Podziękował mu za to z serca. Karol westchnął, wstyd mu było trochę.

Zarządzono natychmiast przygotowania do podróży. Karol wysłał na ręce pułkownika list do Ruszkowa razem z korespondencją obszerną Roberta.

Od czasu cudownego uzdrowienia pędził i przynaglał do podróży. Major też, lękając się, aby syn się nie rozmyślił—rad był go natychmiast wyprawić... I tak jednego poranku konie zaprzężone stanęły przed dworkiem. Karol począł dziękować za gościnność, Robert żegnać się z ojcem. Major wesoły i rozpromieniony wyprawiał i błogosławił...

— Polecam panu syna... pamiętaj! Jest to co mam na świecie najdroższego, nie popsujcie go mi bardzo, a wróćcie mi zdrowym, wesołym, odmłodzonym..

Konie parskając ruszyły, a gdy za wrota odjechali, Robert rzucił się ścisnąć Karola.

— Spełni się wasza obietnica? zawołał — możeż to być?

— Bądź spokojny — odparł Karol — a jeśli mi nie nfasz, wiesz co?.. jedźmy na Ruszków do Warszawy? Myśl jest niezła..

— To być nie może — rzekł Robert — ojciec dowiedziałby się — nie kuś mnie pan tem nieposłuszeństwem...

Karol ruszył ramionami.

— Tak być może lepiej! wprost więc do Warszawy... ale ty, kochany mój Robercie — zbyt jesteś posłusznem dzieckiem... Chciałbym cię zbuntować dla własnego szczęścia. Zaczny i kochany ojciec twój widzi wszystko swojemi oczyma... nawet przyszłość twoją. Tam gdzie idzie o szczęście, o serce.. trzeba nieć mężtwo..

— Mam je — przerwał Robert — widzicie, że cierpię mężnie..

Był to początek nawracania, z pomocą mniej więcej sntelnych argumentów, które skróciły drogę do Warszawy. Karol używał i poważnych i dowcipnych, aby przekonać towarzysza podróży, że miał prawo sobą rozporządzać, a nie miał prawa szczęścia

dwojga poświęcać fantazyi niczem nieusprawiedliwionej porzuciwego staruszka.

Skutkiem tych rozpraw było, że Robert zamyslał się mocno. Poknsa była straszliwa... nieprzemogiona. —czuł, że teraz jedno wejrzenie, jedno słowo szale na stronę buntu przeważać może!!

Major następnego dnia pojechał do Erdziwilla się chwalić.

— Wiesz, syna wyprawilem do Warszawy, będzie to podobno najlepsze lekarstwo...

— I ja tak myślę — odezwał się sędzia — może się tam spotkać z Dulcyneą i chłopak poweseleje...

Usłyszawszy to major, w czoło się nderzył.

— Jak Boga kocham... Sacré matin! co za myśl!... Wiesz, że to może być!! Tom się wystrychnął!

Erdziwill śmiał się...

— Na wiatr rzuciłem słowo...

— Tak, ale mi jak kulą trafiłeś w serce. Ci panowie nasi, to się to rade włóczy po miastach, szczególniej ku zimie. Nuż jej przyjdzie fantazyja do Warszawy, nuż on się tam z nią spotka...

— Prapan Sauka z dudami! zawołał zanosząc się od śmiechu Erdziwill. Ja ci więcej powiem... tam są tacy księża, że ślub im dać gotowi...

— Nie dokuczaj mi! człowiecze nielitosciwy! krzyknął major... Sama myśl, że takie głupstwo popeliń, narażając go na niebezpieczeństwo — przeraża mnie...

— Siadaj i jedź za nim w pogoń! dodał sędzia — ale wnet zmieniając głos, rzekł poważniej: Dajże pokój tym troskom!! Żartowałem aby cię podrażnić! Nie ma najmniejszego podobieństwa... Bądź spokojny...

Majorowi już tego dnia spokój i wesołość nie wróciły...

List pana Karola do kuzynki wysłany z Żabli-szek. następujący był treści:

„Jutro ztąd wyjeżdżamy do Warszawy... Zważ proszę, że mówię w liczbie mnogiej. i że moim towarzyszem jest Robert. Oblicz potem ile mefistofelowstwa potrzeba było, aby to świetne wywalczyć zwycięstwo. Czci najgodniejsza kuzynko, wiele się czyni dla pięknych oczu niewiasty—ale, nie chwając się, nie wiem czy kto dla oczu, co tak nań obojętnie patrząc jak twoje na sługę swego — nie wiem czy kto od początku świata, tak się znamienicie poświęcił jak ja!! Udawałem potłuczonego i okulawiałego, kłamałem wszetecznie, starałem się najnikczemniejszymi pochlebstwy wkraść w serce i zaufanie pana majora, słuchałem jego powieści o pękających o trzy kroki kartaczach, grałem z nim w maryasza, spędziłem nie wiem ile dni (lękam się ich liczyć) na wsi, oko w oko z majorem, z pocziwym, ale zakochanym Robertem, który dla mnie był bardzo nudny...

„Mamże liczyć ofiary moje? Nie, będę wspaniałomyślny — zostawuję ci odgadnięcie ich, obrachowanie i ocenienie. To wiem, że gdybym po raz drugi miał to spełnić — brrr... nawet dla miłości twej, szanowna kuzynko, nie byłbym w stanie... Gdyś tę wyprawę przedsiębrał, wyobraźnia mi jej w tak strasznych nie malowała kolorach — uśmiechały mi się epizody spodziewane — a te chybiłyby wszystkie.. Nie obrachowałem sił moich... lecz — wyszedłem zwycięsko... To jedno mnie pociesza. Wiozę ci Roberta do Warszawy, do miejsca neutralnego, w którym nie nie broni znaleźć się przypadkiem, ani pannie Adzie, ani pannie Hortensyi nawet, jeśli by uczuła wielką tęsknotę do widzenia się ze mną...

„P. Jazyga junior, jadący ze mną, przejęty jest tą myślą, że w wielkich miastach szczęśliwym trafem spotyka się czasem najniespodziewaniej znajomych, którychby się bardzo widzieć pragnęło. Ja, nietylko mu nie przeczę, ale niemal go zapewniam, że ze wsi

jesienią mnóstwo osób wyjeżdża, bo nie ma nic smutniejszego na świecie, niż w czasie wichrów i słoty, siedzieć nawet w najwygodniejszym domu, choćby takim jak Ruskowski... W parku drzewa szumią straszliwie w tej porze...

„Jak długo p. Robert zabawić zechce w Warszawie. nie wiem prawdziwie... ale że ja do Żabliszek odprowadzać nie będę, że mnie nic w świecie nie skłoni do drugiego pobytu w tej rozkosznej ustroni. stworzonej dla niewinnych gęsi i zamysłonych kaczek — a! na to przysięgam...

„Powiesz, kuzyneczko, żem płochy i niepoprawiony... Mów co chcesz — skłaniam głowę w pokorze, gotów znieść najstraszniejsze zarzuty, ale do Żabliszek nie wrócę. Tu nabrałem przekonania, że najczcigodniejsi ludzie bywają ludźmi najnudniejszymi... Maryasz od rana do wieczoru, choć gra ta ma swe wdzięki — w końcu się staje zabójczym. Na polskie karty patrzeć nie mogę i z rozkoszą siadę do francuzkich...

„Nie miej mi proszę za złe, że tak mało piszę o tem. o czembym właściwie powinien był list napisać cały — a tak wiele o własnych męczarniach. W skutek niepomiernego szafunku poświęcenia, wyczerpało się do dna — egoizm widać kamienny na spodzie...

„W ciągu podróży. użyję pozostałości sił mych intelektualnych na nawrócenie towarzysza podróży ku zdrowszym pojęciom o życiu, szczęściu, miłości i innych kwestyach zasadniczych naszej egzystencji na tym padole płaczu i fortepianów... Zacołany jest bardzo i czasem dziwnie naiwny... a chociaż mianuje się uczniem bardzo pięknego profesora — nie czyni mu chluby.

„Do nóg twych upadając, piękna kuzynko, proszę. abym miał szczęście, w nagrodę mych trudów herkulesowych. rychło cię powitać w Warszawie.“

List ten, razem z ogromnym pakietem, zawierającym dziennik. niestety! bardzo monotony, myśli

i uczuć Roberta — doszedł jakoś wieczorem do Ruszkowa. Pułkownik sam go odniósł do pałacu, idąc na wieczerzę, i wręczył swojej dobrodziejce, która go zręcznie w szeroką kieszeń sukni wpuściła, poczem Brandys się śpiesznie oddalił. Czytać go, mimo najgorętszej chęci, Ada nie miała czasu, policzki jej tylko okrył rumieniec, który zaraz znikł i ustąpił miejsca powszedniemu wyrazowi twarzy, zamysłonej a dumnej.

Od wyjazdu p. Karola towarzystwo się powiększyło, a gospodyni, zdawała się nawet temu rada. Potrzebowała ludzi, rozmowy, zajęcia, aby nie być nieustannie sam na sam z myślami swemi.

Przypadek zrządził, iż p. Wacław Rubaszek dowiedział się o przejeżdżającej przez okolicę tę i mającej się w Brześciu zatrzymać znakomitości panu Czeladinku, współziomku swym, który sływał jako uczeń Liszta (wszyscy dzisiejsi fortepianiści są uczniami jego) — wirtuoz, kompozytor, improwizator. Była to jedna z tych gwiazd pierwszego rzędu na niebiosach kunsztu, które jak proste meteory z ogonami, błyszczą świetnie, a prędko gdzieś za piecem znikają. Rubaszek, który był jego stryjeczno-stryjecznym jakimś powinowatym. wypraszał się dla widzenia z nim do Brześcia. Ada zasłyszawszy o tem. kazała go prosić do Ruszkowa na kilka dni spoczynku.

Czeladinek, mimo że nań z gorączką i z fortepianami nastrojonemi na uowo oczekiwano w Grodnie, Wilnie, Rydze i nie wiem ilu miastach gubernialnych, zgodził się zaszczycić swą wizytą dostojną panią. protektorkę jego starego krewnego.

Czeladinek był typem kunsztmistrza koncertanta, nawykłego, do oklasków, do występów, estrady, wieńców i pełnych entuzjazmu okrzyków. Nie był to człowiek bez talentu, miał chwilami poczucie piękna, ale się zmarnował jeżdżąc i grając dla pieniędzy. Wyrobiło to w nim pychę nie mniejszą od talentu, manieri artysty małego prowincjonalnego teatru..

elegancję złego smaku, wiarę w geniusz, którego nie posiadał.

Improwizował wprawdzie, ale to były w jednej zawsze formie bezmyślne łataniny reminiscencji. Za to czytał nuty wyśmienie i repertuar swój koncertowy odegrywał z wykończeniem, które łudziło tak, że w natchnienie i intelligencję wyższą można było uwierzyć.

Piękny mężczyzna, z włosami długimi (lisztowska tradycja tego wymaga). pozował na nieśmiertelnego. Rubaszek miał dlań część posmiętą do roznamietnienia. Sam muzyk dobry, mosił się do spazmów nad Czeladinkiem, który starego sobie lekcewał.

Przybycie Czeladinka muzyką napełniło Ruszków... był to koncert nieustanny, przed którym panna Hortensya nie wiedziała gdzie uciekać. Ada była ożywiona, zajęta, i bawiła się tem widocznie...

Czeladinka przyjmowano tak po pańsku, karmiono i pojono, chwalono, i tyle mu okazywano współczucia, iż z dnia na dzień dozwalał się coraz dłużej zatrzymywać. Może, jak wielu artystów, muzyk entuzjastą dla sztuki brał mylnie za rozmiłowanie się w swej osobie... może mu się przyśniło, że piękne, ciemne oczy gospodyni coś mu więcej mówiły, niż o jego talencie niepospolitym...

Dziwnym trafem, ksiądz kanonik de Bello, jakby chciał brak rozrywki i niedostatek Obłęckiego czemś wynagrodzić, schwycił gdzieś znowu malarza artystę, cudzoziemca pana barona von Pavianer, Austriaka... który mimo tytułu, był wędrownym portrecistą, podejmował się kościelnych obrazów, malował bitwy, zdejmował widoki, i oprócz tego był miłym bardzo w salonie.

Ten baron zamówiony był właśnie do pokrycia freskami nowo budującego się kościoła, przez książąt XX., a że tynki jeszcze nie były gotowe, rusztowania się dopiero kleiły, miał czas poświęcić się poznaniu kraju i społeczeństwa. Wiedeńczyk, sztucier

niegdyś naddunajskiej stolicy. elegant, brunet, pięknej twarzy. słusznego wzrostu, baron von Pavianer mówił z równą łatwością po niemiecku. po włosku, po francuzku i łamanym jakimś austriacko-słowiańskim językiem... Obeznany był z literaturą artystyczną. pamięć miał ogromną i powtarzał słiczne rzeczy w ciągu życia czytane i słyszane. trafnie je zastosowując do potrzeby.

Nudzącego się na wsi kanonik prosił do Ruszkowa, i uczynił tem istotną przyjemność Adzie, która ile razy Czeladinek zmęczony siadł odpoczywać, miała z kim szeroko, długo rozprawiać o szkołach malarstwa, o mistrzach, nawet o technice... Baron von Pavianer od pierwszego dnia powziął admirację prawdziwą dla pięknej gospodyni. tak uczonej. mówił, iż równej jej w życiu nie spotkał. Kanonik poddał myśl malowania wielkiego portretu grandeur naturelle

Ada opierała się temu jeszcze lecz było prawdopodobieństwo. iż da się na to nakłonić.

Pavianer i Ada całemi godzinami mówili o sztuce, — a ona znajdowała też. że baron miał ogrom wiadomości i talent niepospolity. W istocie rysował na prędce rzeczy bardzo ładne. ręką niezmiernie wprawną: brakło temu tylko jednego charakteru, wybitności—natchnienia. Były to jakieś ogólniki. w których niemal kalligraficzny knszt podziwiać było trzeba... ale to mówiło tylko do zdziwionego oka

Czeladinek i baron Pavianer oba z pod berła austriackiego, współziomkowie. mimo to mieli tylko towarzyskimi względami hamowaną ku sobie wzdargę i nienawisć. Baron po cichu zwał wirtuoza. jako Czech. pogardliwym przezwiskiem. które Niemcy im nadają wszystkim — nazywał go Pawidl. Czech nie mógł patrzeć na barona i nie odpowiadał mu na pytania. W salonie jednak mieszcili się oba jakoś. nie potracając o siebie... Tylko gdy Ada jednemu z nich okazywała trochę współczucia, drugi się wykrzywił

i ruszał ramionami. Gdy Czeladinek grał, baron wychodził na cygaro — nie znosił muzyki; gdy baron rozprawiał, Czech przerzucał nuty lub odcigał Rubaszka do drugiego pokoju...

Baron z tytułu swego i jako polecony przez kanonika szedł przodem — miał też ogólnego wykształcenia znacznie więcej, i widać było, że w salonach wiedeńskich, choć przy drzwiach czasami stać musiał.

Ci dwaj przybysze znacznie ożywili posępny dwór ruszkowski. Oba im ksiądz kanonik był przychylny; zdaje się, że znając dobrze charakter gospodyni, obrachował, iż ją zajęcie sztuką od iunych marzeń i myśli odwiedzie. Nie omylił się całkowicie... Powierzchnownie przynajmniej Ada była weselsza — znosiła lepiej tęsknotę swą i niepewność przyszłości. Wśród tych chwil wielkiego ożywienia, zaprzątnięcia sztuką, — po rozprawach o kolorycie, po wysłuchaniu fugi Bacha, napadały ją zadumy, chroniła się i zamykała w swoim pokoju — lecz w salonie przynajmniej zdawała się wracać do tego usposobienia. jakie ksiądz kanonik pamiętał — *ante bellum*.

Panna Hortensya widząc skutki, acz powolne, tego lekarstwa derywacyjnego, tak umiejętnie zastosowanego przez kanonika, z uwielbieniem dłań, w duchu mu przyklaskiwała. Skutki to były w istocie bardzo jeszcze małuczkie i niezupełne — lecz zawsze był to choć początek jakiejś reakcyi.

Ksiądz hrabia, który teraz dosiadywał tu i prawie nie wyjeżdżał, często miał zrzeczność wracać do dawnych rozmów poważnych — i sławić w nich niezależność, a wystawiać wszystkie ciężary i niebezpieczeństwa, na jakie małżeństwa narażają. Przywodził przykłady znaczące... w których mimo najszczęśliwszego doboru małżonków — rodziny ich stawały się szkopulem, o który szczęście się domowe rozbijało. Przypominał, że bądź co bądź, biorąc męża czy żonę, zaślubia się ich rodzinę...

W polemikę nie wdawała się Ada. słuchała milcząca. lecz już to coś znaczyło, iż słuchać chciała i nie stawiała opozycji.

Zajęcie sztuką, szczególniej religijną, bardzo też pochwalał kanonik...

Na nieszczęście baron von Pavianer, choć widywał Führich'a, choć sam malował do kościołów. miał pojęcia o religijnej sztuce nader powierzchowne i błędne; hołdował tej szkole konwencyonalnej. która gotowa była z jednej figury, na rozkaz, zrobić Junonę, lub N. Pannę.

Mimo to z baronem mówić było można wiele, czas jakiś przebywał w Rzymie. pracował w Wenecyi za czasów. gdy ona jeszcze pod berłem Austrii została, podróżował po Włoszech całych. miał szczęście widywać z daleka Overbeck'a, Cornelius'a, Veit'a, — mnóstwo o nich opowiadał anegdot...

Czas więc teraz schodził w salonie przyjemniej daleko, i w humorze Ady widać było acz lekką zmianę ku lepszemu. Kanonik szczególnie się cieszył. gdy nad tekami przyniesionemi z biblioteki, Ada godzinami przesiadywała z baronem.

Wśród takiego to ożywionego towarzystwa. list pana Karola z ręki pułkownika przeszedł do kieszonki pani. Wieczór cały zajęty był naprzód popisem Czeladinka, który tego dnia cudownie odegrywał różne stare ułanki „Wołowy Menuet” Hajdna, przez się ułożony na fortepian, parę gawotów i tym podobne fraszki, nie licząc dwóch sonatek Scarlattego. które czarująco wycieniował... Ada przyklaskiwała mu, kilka razy się zbliżyła do fortepianu — widocznie zachwyciała się grą wirtuoza... która Rubaszka przyprowadzała do szału... Nie odzywając się ani słowa, stary to ręce podnosił ku niebu. to włosy targał, to oczy zakrywał, to przysiadł jakby zgnieciony tą doskonałością, której się nigdy skostniałymi palcami dosięgnąć już nie spodziewał.

W końcu zagrali na cztery ręce fugę Bacha. od której wszyscy, oprócz kanonika i Ady, ponciekali...

Gdy się ta produkcja skończyła, baron wszczął rozmowę o sztuce, a ta, pod wrażeniem świeżych jeszcze muzycznych upojeń, poszła żywo bardzo. Ada utrzymywała stronę „szkoły nazareńskiej,” której baron nigdy nie mógł pojąć ani zrozumieć, rzucając się na jej technikę, a ślepym będąc na dacha...

Przyniesiono z biblioteki Fra Angelica i kilku mistrzów pierwotnych, ale nad tych baron przenosił Corregia i manierystów... Wolał z biedą Carla Dolcego...

Przy rozmowie, ponieważ był zwyczaj dla Pavianer'a kłaść zawsze ołówki i papier, baron ciągle rysował i zręcznie rzucał jedno przy drugim, madonny, konie, karykaturny, drzewa i architektoniczne ozdoby, wszystko to było w jednym stylu, jednym sposobem, z równą lekkością i lekomyślnością naszkicowane.. Wszyscy nie wyjmując kanonika zdumiewali się temu niesłychanemu talentowi — bezmyślnemu. Baron odrzucał potem te arkusze, wiedząc, że będą pochwycone i przechowane, jakby do nich najmniejszej nie przywiązywał wagi.

Dosyć późno wieczór się skończył. Ada weszła do swojego mieszkania, w rękę trzymając list... Pilno jej było go przeczytać, spojrzeć przynajmniej. Jednak, gdyby nie owi artyści — trochę dawniej, zaraz po wyjeździe Roberta, pewnieby takiej cierpliwości nie miała, i uciekła by z salonu rzucić okiem na pismo ukochanego. Zbliżyła się do swojego stolika, i rozerwała kopertę. Wyszedł z niej dziennik przestraszających rozmiarów... Spojrzała nań z czułością... Jak on ją kochał!

Na wierzchu był ów niby humorystyczny list Karola; nie dziw, że chwyciła go naprzód. Spodziewała się w nim znaleźć fakta — gdy w dzienniku były westchnienia tylko i inwokacje... Z początku uśmiech na usta zaczął wywoływać list Karola, lecz

z wolna wyraz ten zmieniał się, czoło zasepiło — twarz oblekła zadumą przykrą — niesmakiem.

Dokończywszy, rzuciła go na stół, i nie biorąc w rękę dziennika, usiadła zamyślona...

Tak ją w pół godziny później nadchodząca znalazła sługa, której się rozebrać kazała. Nie tknęła jeszcze listów Roberta... Dopiero po wyjściu sługi — przerzuciła je z roztargnieniem, w kilku miejscach czytając po słów kilka tylko — jakby reszty domyslała się łatwo. Uśmiech prawie bolesny zjawiał się i znikł wprędce, razy parę... Wróciła do listu Karola... odczytała go i rzuciła z wyraźnym wstrętem...

Chodziła po pokoju — a ktoby ją był widział przechadzającą się tak, poznałby, że znowu walczyła z sobą, że sobie czyniła wymówki, że się niemal wstydziała siebie.

Siadła pisać... lecz jeszcze pióra nie przyłożyła do papieru, gdy je odrzuciła nagle zniecierpliwiona... Jeszcze raz zajrzała do listu Roberta...

Był to wylew czułości młodzieńczej, to świeże technienie uczucia, które zimny oddech zabija, spojrzenie chłodne śmieszne czyni. Z miłością i wiarą czytają się takie listy — lub nielitosciwie wysmiewają, bo są śmieszne w istocie dla tych, którym nie idą do serca.

Pierwsze listy Roberta... były dla niej hymnami... z którymi żadna w świecie poezya równać się nie mogła... Ta sama świeżość wiała od nowych — a jednak... czegoś się wydały — długie... Powtarzał ciągle jedno...

Zbliżyła do ust jedną z tych ćwiartek, lecz całowała ją jak ranę Samarytanina — z politowaniem. Serce jej nie bilo.

Gniewała się sama na siebie. Kochała go, obraz jego uśmiechał się jej anielsko wdzięczny — a — nie ciągnął jej już ku sobie. Przestraszył ogarnął Adę, załamała rękę...

List Karola niedorzeczny, śmieszny, niezgrabne jego postępowanie było wszystkiego przyczyną. Proza majora wtargnęła w tę krainę zaczarowaną, i urok jej cały się rozprysnął. Widziała ciągle starego Jazygę z jego łysiną, na której sterczał węzełek, z fajką, z chustką podpiętą wysoko — wzdygała się. Robert bladł jak widmo przy tym wizerunku jaskrawym... Ideał nie dawał się rozdzielić od karykatury... Wstręsała się...

Karol ją ciągnął do Warszawy! Co za myśl! (Ona — owa niewiasta, co swą niepodległość tak ceniła wysoko, miałaby w oczach całego świata upokorzyć się, poniżyć do tego stopnia, by leciała na spotkanie zwycięzcy.

— Ja tego nigdy w życiu nie zrobię — mówiła rumieniąc się. Karol jest szalony! ma mnie za najslabszą z istot.. za... ja nie wiem. Jak on mógł pomyśleć coś podobnego? Przypuścić. abym ja zebrała szczęścia! To niemal obrażające!...

Jaka lekkość nieznośna... co za igraszka z uczuc najświętszych!... Jam go o nic nie prosiła! ja go do niczego nie upoważniałam...

Łamała ręce chodząc...

— Jak on się mógł tego dopuścić!

Myśl jej wracała potem do biednego Roberta, który dla niej się narażał ojcu... gotów był wypowiedzieć mu posłuszeństwo. Przypominała sobie, że ona sama go ośmieliła, pociągnęła. rozbudziła w nim te uczucia. których następstwa przyjąć teraz musiała!

Zdawało jej się, gdy myślała o nim, że gotowa jest jechać dlań na kraj świata... i wnet cofała się oburzona na siebie.

— Będę czekała! cierpiała -- ale się tak poniżyć?...

A! nigdy! nigdy!

Zaprawdę walka to była straszna i krwawa — łzy wytrysły jej z oczu, ze łzami rzuciła się tak nie rozbierając na łóżko, i we łzach usnęła, trapiąca snami strasliwemi.

Z rana zdziwiona sługa znalazła na stole dogorywającą lampę, której zgasić zapomniano, i panią jakby złamaną chorobą, — bladą, znękaną. jak nigdy nie widziała. .

Już chciała biedz przestraszona. aby po doktora posłać, gdy Ada wstała i nakazała jej milczenie.

Światło dnia wróciło jej całą energię dawną — ochłonęła z marzeń, wszystko jak na skinienie rószczki czarodziejskiej wróciło do zwykłego stanu i porządku... Kazała tylko powiedzieć, że na Mszy być nie może, bo ma pilne listy do pisania. i siadła do nich natychmiast...

Odpowiedź Karolowi, pomimo wielkiego umiarkowania do którego się zmuszała — chłodna była i surowa. Wyrzucała mu dziwny pomysł jego... zapraszania jej do Warszawy... gdy ona zwykła tych, którzy chcieli widzieć, czekać u siebie...

List był pisany oględnie. trzymany w ogólnikach, grzeczny zresztą. ale odejmujący wszelką nadzieję, aby życzenia jego spełnić mogła. Miejscami nawet przybierał ton szyderski. Dziwiła się, iż Karol przypuścić mógł nawet myśl podobną?

— „Jakkolwiek miłoby mi było widzieć osoby do rodziny należące. i te. które mi życzliwość okazywały, oddalić się z Ruszkowa nie mogę... nie chcę.“

Do Roberta odpisać nie mogła. nie mając jego adresu. a nie chcąc powierzać listu Karolowi, któremu dozwalała się wiele domyślać wprawdzie. lecz do niczego się nie przyznała. Dwuznacznikami zawsze wiodła z nim rozmowę... Karol więcej sam sobie wmówił. niż mu polecono... Ada nie sprzeciwiała się —ale nie wymagała nic... Gniewało ją śmiałe postępowanie Karola i narzucanie jej niedorzecznych pomysłów...

Parę razy przeczytawszy swą odpowiedź, kazała ją odwieźć na pocztę...

Uspokojona nieco — przejrzała się w zwierciadle. by się przekonać, czy noc na twarzy śladów nie

zostawiła, i z przybraną pogodą wyszła do salonu. Całe towarzystwo oczekiwało na nią. Obcy nie zobaczyli nic oprócz trochy znużenia, ale oko kanonika odkryło łatwo ślady walki świeżej jeszcze. a panna Hortensya wytłomaczyć ją sobie nawet mogła, bo spostrzegła jak pułkownik list oddawał.

Cierpienie Ady dla niej było pociechą.

— Dobrze jej tak! niech cierpi! o! to jeszcze nie koniec! mówiła w duchu Hortensya. Zbliżyła się nawet z kondolencją, pytając Ady, czy nie chora? aby jej dać pociechę, że czytała na twarzy...

Nie chcąc sobą przynieść uciechy złośliwej kuzynce, Ada właśnie dla tego wysiliła się na nadzwyczajną wesołość i roztrzpiotanie. Zaczęła najprzód Czeladinka, zaręczając mu, że Gawot, który grał, snił się jej przez noc całą.

Przy śniadaniu związała rozmowę z Pavianerem o muzeum wiedeńskim, którego okazała doskonałą znajomość. Rafaelowska Madonna w zieleni, była potem przedmiotem długich rozpraw o wszystkich dziełach mistrza począwszy od Sposalizio do Transfiguracyi. Pavianer, który kopiował we Florencyi portret Urbinat'a — rozwiódł się nad jego techniką... Mówiono o Peruginie, a po śniadaniu przyniesiono na stół Łoże, w przepysznem wydaniu, którym się wszyscy oprócz Czeladinka przyglądali. Wirtuoz siadł do fortepianu i zagrał Gawota.

Ada z daleka podziękowała mu wejściem. Poszła potem z kanonikiem zasiąść do przerwanej wczoraj polemiki, w której brała obronę Lamennais'a, co księdza zgorszyło i oburzyło... Nazwał go kacerzem po prostu... Od Lamennais'a przeszli do De Maistre'a... a Ada tak zdawała tem wszystkiem zajętą i przejętą, jakby nic więcej na sercu nie miała. Oszukała tem może księdza — ale nie Hortensyę, która z niej oka nie spuszczała.

— Niezmiernie ożywiona, mówiła uśmiechając się — ale to pokrywka! udanie! Cierpi! cierpi!

W istocie biedna gospodyni cierpiała okrutnie — wczorajsze myśli wracały, przychodziły nowe. Żał jej było Roberta. Cóż mu się stanie? pocieszała się — powróci do ojca! Karol powinien pokutować za swe niesłychane zuchwałstwo...

Umyślnie dnia tego nie oddaliła się na chwilę od gości, wstrzymała ich przy sobie. Kanonik nawet nie wyszedł, czując, że tego dnia skutecznie może do niej przemówić... Na poruszoną duszę, jak na świeżo zoraną rolę, rzucone ziarno prędzej i pewniej wschodzi.

Gdy znużona muzyką i baronem Pavianerem ku wieczorowi siadła Ada zawiązując znowu z księdzem przerwana rozmowę rauną, kanonik skierował ją ku różności charakterów i temperamentów, które też, jak rośliny, różnej uprawy i pielęgnowania wymagają.

— Instynkta czysto ludzkie, powszechne, nam wszystkim wspólne, odzywają się wprawdzie w każdym, ale indywidualne usposobienie przemaga. Żywoty Świętych mówią nam o kuszonych mężach na pustyni... Tak każdego z nas kusi świat — lecz łaska nam pomaga do zwyciężenia tych pokus natury. Dla jednych klasztor jest koniecznością — dla drugich małżeństwo — dla innych wędrowne misyonarstwo.. Szczęśliwy kto się w chwili obłędu nie rozminie ze swem przeznaczeniem. .

Uśmiechnął się kanonik łagodnie.

— Przyznam się drogiej pani, że nieraz mnie trwoża porywała o nią! Ja, co ją tak znam, co tak rozumiem jakiego jej życia potrzeba... ileż razy lękałem się, aby chwilowe wrażenie nie sprowadziło z drogi!..

Dzięki Bogu, trwoga ta przeszła! Wystawić sobie nie mogę nawykłej do tej swobody, jakiej umysł jej potrzebuje — nagle związkiem z osobą coby jej pojąć nie umiała... zakutej w rodzaj niewoli. Wlec za sobą jak kulę, choćby najlepszą, ale po ziemi zmuszoną stąpać istotę — mając skrzydła i ducha do lotu... a! — co za męczarnia!..

Westchnął kanonik i Ada mu odpowiedziała westchnieniem. Pokorny, dobry, rozkochany Robert wydał jej się jakby ta kula, co ją do ziemi przykuwać miała...

Wysnuła z tego potem cały szereg sytuacji wyobraźnia... wszystkie prozaicznego życia trywialności... Majora zapomnieć nie mogła...

Dnia tego znużona wyszła wcześniej spocząć do siebie; dawny dziennik wpadł jej do ręki, i rozbudził myśli, z którymi się rozbratała. Spojrzała na obraz matki.

Ta miłość, dla której wszystko miała poświęcić — upokarzająca w oczach świata, odejmując jej aureolę — byłaż warta takiej ofiary? Serce biło na wspomnienie chwili niemego zachwycenia w lesie, pożegnania u furtki. W tem szczęściu widziała teraz niemal coś upokarzającego... Wstydyła się go teraz.

Dźwigała ciężar, który na nią ściągnęła jedna chwila — zapomnienia się, słabości...

Byłaż nią związana? Wszak nie ona zrywała — ale sam los ich rozdzielał...

W długim dumaniu widziała już, że się to rozchwiać... mogło — przeciągając... i zerwać tak samo, choćby nikt nie potargał więzów...

— Zostawmy to jak jest mówiła; będzie co los przeznaczy... walczyć z nim byłoby świętokradztwem... jest w nim wola boża...

Obok tych myśli — przychodziły przypomnienia swobody, jaką miała w Ruszkowie, będąc sama. Nowe życie musiałoby zburzyć całą starą budowę... A płynęły te dni często nudnie i leniwo, ale fantazja jej miała prawo czynić z niemi co zamarzyła. Jutro — we dwojgu, trzebaby posłuszną być cudzym zachęciom... wolę poświęcić, spokoju się wyrzec... Ruszków zmieniony, przerobiony — stanął w oczach i zadrgała...

Marzyła i o nim, o biednym Robercie, lecz z politowaniem tylko.

Ponieważ Czeladinek nie mógł się obejść bez popisów i występowania — kilkakroć przez Rubaszka poddając tę myśl, że mógłby przed szerszem kołem słuchaczy odegrać koncert, któryby nawet był czemś jedynem w swym rodzaju. — Ada się zgodziła zaprosić na wieczór sąsiadów...

Było to w istocie coś zupełnie nowego. Pułkownik miał rozesłać listy zapraszające. Kanonik, wi docznie, popierający wszelkie rozrywki, wszystko co mogło odciągnąć od marzeń — obiecał także pomoc swoją. Niesłychana więc w dziejach Ruszkowa rzecz się dokonała: zjechało się około czterdziestu osób. a gospodyni, której znaczniejsza ich część ledwie z widzenia była znana, z nadzwyczajną uprzejmością i pańską wspaniałością przyjęła to różnobarwne towarzystwo. Czeladinek w białym krawacie ufryzowany, odegrał nieuniknioną rapsodyę Liszta i mnóstwo ślicznych rzeczy. Panny mu bukiet ofiarowały, a jedna z nich mocno się nim nawet zajęła.

Szczęściem dla niej czekano nań w Rydze, i — musiał w końcu odjechać...

Wynagrodzony wspaniałe. ruszył unosząc z sobą najmiłsze wspomnienia. a Rubaszek przy rozstaniu z nim spłakał się jak bóbr i upił jak nie boże stworzenie.

Zostawał baron von Pavianer, który namawiał przez kanonika do portretu... Mógł on być zawieszony w sali jadalnej, gdzie miejsce dlań jakby umyślnie było zostawione... Ada zgodziła się na malowanie... Nastąpiły narady nad ubraniem, tłem, oświetleniem, pozą, a baron poddawał się rozkazom. powtarzając. iż jakkolwiek artysta z powołania. nie ma ani setnej części nauki i smaku pięknej pani. Zwał ją wyrocznią w rzeczach sztuki.

Bawić to zdawało się piękną Adę. Baron miał ją przedstawić stojącą, z głową i wzrokiem zwróconym ku patrzącym, z rękami spokojnie założonemi, trzymającemi niedbale wachlarz i chustkę — w sukni

aksamitnej, z koronkami. We włosach nic prócz jednej brylantowej gwiazdki, którą Ada czasem nosiła...

Portret ten, doskonale pomysłany, był rozrywką najskuteczniejszą — Ada poddawała myśli, kierowała wykonaniem, zdawało jej się czasem, że go malowała sama. Ponieważ manekini nie było, a do draperyi stać sama pani nie mogła — uradzono jedną z panien służących ubrać, — z tem, że suknię ową aksamitną miała sobie zatrzymać. Panna Julia, bardzo ładna panienka, tego wzrostu co pani, stawiała więc do akcesoryów, a Ada mogła swobodnie, po wykonaniu twarzy i karnacyi przypatrywać się robocie... Zajmowało ją to niekiedy tak, że całemi godzinami stała za baronem, który tak był posłuszny, iż psuł co zrobił często idąc za rozkazami mistrzyni.

Nie przeszkadzało mu to uwielbienie dla niej, w godzinach gdy sam na sam z piękną panną Julią zostawał, przemawiać do niej po austriacku i powoli serce jej podbijać. Zaszło to tak daleko, że później panna Julia za baronem pojechała, służyć za wzór do aniołów na freskach kościelnych. W czasie malowania nikt się tego stosunku nie domyslał, bo panna Julia narzekała na nieznosnego malarza i krzywiła się na niego..

W tym czasie także kanonik poddał myśl szczerliwą, żeby kilkoro dzieci wiejskich wyczyć do spiewania w kaplicy. Rubaszek się tego podejmował chętnie. Rozpoczęły się próby i studia, którym często pani bywała przytomna. Na przemiany więc mogła przypatrywać się postępowi portretu, przysłuchiwać małemu chórowi głosków dziecińczych, i z Hachttem troszczyć o ogród.

Nabrała bowiem, nagle przypomniawszy sobie dawną miłość dla ogrodu — chęci podniesienia swych cieplarni i trebhauzów do najwyższego stopnia doskonałości i bogactwa.

W tem wszystkiem czuć było gorączkowe pragnienie zapomnienia przeszłości, zagojenia ran, dania

sercu sztucznego pokarmu. Kanonik jak lekarz troskliwy, dopomagał.. Ada wróciła z zapalem do ksiąg, które przez czas jakiś zaniedbywała.. zatapiała się w nich długo, ale często też książka z ręką bezsilną opadała na kolana, oczy wlepiła w ziemię i tak zamysłona — nieprzytomna, pozostawała długo ze wspomnieniami z żalem — ze zgryzotą czy z nadzieją — któż to zgadnie??

Z Warszawy przyszedł list od Roberta. Biedne chłopię, któremu Karol nie śmiał wyznać, że dostał burę, że się omylił i zawód mu uczynił — czekało z oczyma zwróconemi w tę stronę zkaąd szczęście przybyć miało! List jego poruszył Adę, wróciła miłość cała — serce uderzyło... ale nim siadła odpisywać, oczy jej padły na obraz matki, na wszystko co ją otaczało — i — ostygła znacznie...

Odpowiedziała nazajutrz tęsknie i czule, wyznając mu, że nie miała odwagi do kroku stanowczego.. Zaklinała go, aby był mężny i cierpliwy. Nie chciała — dla własnego szczęścia zatruwać życia ojcu jego, rozrywać węzła świętego, który go łączył z dziećciem.

Było to piękne, wymowne — i Robert w prostocie ducha mógł w tem widzieć miłość najgorętszą — a przecież było to ostygnięcie już — było to złudzenie tylko, w które sama pisząca nie wierzyła.. Dawne jej listy dziwnie kresłone były, bezładnie, nieforemnie, niezrozumiale czasem; ten był jasny, brylantowy, stylem najsliczniejszym, poezji pełen... a chłodny...

Shczęście, pisała mu, trzeba było zdać przeznaczeniu. woli Boga... Ona miała mu pozostać wierną na wieki... on powinien być ufać jej i być spokojnym...

Karol odebrawszy odpowiedź, już się nie odzywał. Gniewał się trochę na nią, mocno na samego siebie. Nie przyznał się do zawodu przed babunią — zmilczał, powiadając sobie, że już się więcej ani w te interesa sercowe, ani w żadne inne wdawać nie będzie...

Napisawszy spokojnie do Roberta, Ada odetchnęła... wróciła jej wesołość — zdawało się, że odzyskała swobodę. Nie tęskniła do szczęścia; wołała, aby się ono przeciągnęło... odsunęło... lękała się go prawie... To życie nowe, co się jej uśmiechało, gdy czuła przy sobie bijące serce jego — życie nieznane, pełne niezbadanych tajemnic... przerażało ją.

A nuż nazajutrz przebudzona z tego szalu, ostygła miała w ideale swym znaleźć poziomą istotę, niezdolną, jak mówił kanonik, podnieść się i ulecieć z nią w wyższe światy... Nuż niesmak i wstręt miały pieczęty zostawić na ustach...? Nuż namiętność zmieniałaby się w politowanie—które trzeba było dźwigać aż do śmierci... znosząc uwielbienia sercem ostygłem?... Tysiąc myśli krzyżowało się w jej głowie... a gdy juk rój dokuczliwy owadów naprzykrzyły się — biegła do portretu, do śpiewaków małych, do ogrodu, do książek, aby upiwszy się wrażeniami, zapomnieć o sobie samej...

Tę walkę, którą raz już przebywała zaczynając kochać—musiała na nowo podjąć z sobą, aby zaprzestać... Zagłuszała uczucie, a na dnie serca pozostawało zawsze widmo ukochanego, które się mówić zdawało do niej: Litości!

Odwracała oczy, czuła się winną, gardziła nie-mal sobą—ale zmienić nic nie mogła.

Jednego jesiennego wieczoru, z myślami temi wyszła Ada do parku, do pamiętnej furtki... która na niej przykre i miłe zarazem uczyniła wrażenie. Ani ona, ani nikt wytłómaczyć tego nie potrafił. dla czego ztąd, wolnym krokiem posunęła się dalej, szukać wspomnień bolesnych. Sama nie wiedziała jak się znalazła w tym lesie, w którym niegdyś tak była śmiała i wyzywająca, a teraz tak zawstydzona i strwożona. Niedaleko już było do Kasi... chciała zajrzeć i do niej—i tam były niedogasłe krótkiego marzenia pamiątki. Zbliżając się ku dworowi posłyszała w nim żywą rozmowę; głos Kasi podnosił się coraz

i zagłuszał drugi. w którym rozpoznać było można męża... Ada stała strwożona... byłże to już spór co wyrósł na tem szczęściu. jak oset na polu zbyt żywnem?

Wyrazów nie można było pochwycić, ale dźwięki dowodziły silnego rozdrażnienia. Ada stała jeszcze rozmyślając, czy ma wniknąć, czy niepostrzeżona usunąć, aby nie być świadkiem sceny małżeńskiej. gdy Kasia wybiegła na próg, dziecię trzymając na ręku. z twarzą zaognioną, z włosami potarganemi. w ubraniu dosyć zaniedbanem... Dawniej elegantka i tak dbała o swą twarzyczkę, piękna jeszcze Kasia, zabrnkana była i do niepoznania zmieniona. Wyraz nawet śmiejącego się zawsze jej lica, zmienił się na jakiś groźny i nadąsany. Nagle spostrzegła dawną swą panią — i zdumiona, zatrzymawszy się chwilę w niepewności, podbiegła ku niej żywo, starając się zachmurzoną twarz rozjaśnić.

— Na Boga! cóż ci się stało, Kasin moja! co ci jest!

— A nic! paniuńciu kochana! a nic! ot—tak. zwyczajnie — nasze gospodarskie sprawy... Pani tu dawno?...

— Nie bardzo! ałem się obawiała wniknąć, słysząc jakąś bardzo żywą rozmowę. Cóż to było?

— A! proszę pani kochanej! To i mówić o tem nie warto!

— Któż to był?

— A, to ja się z mężem, z pozwoleniem pani, ujadalam... za dziecko...

Pocałowała swojego Stacha. który tulił do niej głowę. krzywiąc się i oczy sobie wycierając kałaczkiem.

— Jakto? zlituj się! z mężem mogłaś się poróżnić!

— A! uchowaj ręka Bozka! poczęła żywo Kasia. Cóż bo pani myśli! My się tak kochamy. że jednoby za drngie życie dało — ale — jak się żyje razem. to

trudno. czasem trzeba ząb za ząb się wyklócić! to nie nie pomoże.. boby zahukali i zgziętli.. Najlepszy mąż. ale zawsze chce na swoim postawić, a to nie może być...

Kasia mówiąc chciała wprowadzić panią do dworku. Ada wołała zostać pod altanką z fasoli. Pan Rybacki, jakby się wstydził, nie pokazał się.

Z ciekawością Ada spoglądała na swą dawną sługę. tak świeżą, ładniuchną, rozkwitłą. Dziwna w niej zaszła zmiana. Kasia rozrosła się, utyla. straciła wdzięk, była rumiana, zdrowa; ale wiosenne puchy. co ją czyniły tak wdzięczną, starły się z twarzy czki pulchnej, ceglasto-czerwonej i opalonej. Ładne jej rączki pogrubiwały od pracy, i nie były już tak starannie utrzymywane jak dawniej. W ubraniu nie było najmniejszej oznaki troskliwości o wdzięk niewieści. Słowem Kasia się stała Kachną... a — któż wie czy była szczęśliwą! Umysł jej nawet dawniej przystępny marzeniom i tęskniący do poezji, zwracał się teraz tylko do dziecięcia, do trosk domowych, do chleba powszedniego.

— Kasiu moja — odezwiała się Ada przypatrując się jej pilnie — jakżeś ty się zaniedbała! Czy tak ci ciężko? Czy jesteś przynajmniej szczęśliwa?

Zarumieniła się kobiecina, a za całą odpowiedź pocałowała Staszka w czoło—i westchnęła.

— Cóż to mówić! proszę kochanej pani — poczęła. Życie to życie! Nie mogę ja powiedzieć. żebym nie-szczęśliwa była: człeczysko dobre, pocziwe, ale trochę gburowaty i uparty. Toć się czasem potrzeba z nim wyklócić. aby nie zawojował...

Pani na mnie patrzy, że ja taka brudna... A! to prawda. mnie czasem samej wstyd gdy się w lusterku na siebie popatrzę — ale gdzie to nam biednym o elegancyi myśleć! Ledwie człek wstanie, trzeba pamiętać o dziecku, i o nim, i o krowie. i o wszystkim... Na mojej to głowie... całuski dom... (Westchnęła). Ledwie czas się przeżegnać i Zdrowaśkę

zmówić. Dawniej człek poczytał... teraz nie ma czasu. Jeszcze póki nie było tego robaka... (Pocałowała chłopca). Co pani chce! A no, za to co jest, Panu Bogu niech będą dzięki... Adzie żal było serdecznie słicznego dziewczęcia, co się tak goniąc za jakimś szczęściem snionem zmarnowało.

— A! widzisz — rzekła smutnie: nie odradzałam ja ci? nie prosiłam, abys za męża nie szła? Nie chciałaś mnie słuchać—a dziś...

Kasia łzy w oczach stanęły...

— Paniuńcia droga, rzekła. takie już było moje przeznaczenie! Albo to mnie tak bardzo źle?... A miałabym ja taką pociechę jako oto...? (Schyliła się do usypiającego chłopaka). A ktoby mi oczy zamknął, zapłakał po mnie, pamiętał i usypał mogiłę! Co tam mówić! Co Bóg dał—to dobre...

Mąż nie tak zły jak się zdaje... Oni to tacy wszyscy, moja paniuńciu droga! (mówiła ciszej). Dopóki się stara, póki nie wystara. na kolanachby całe dni modlił się jak przed obrazem... całuje palców końce!.. a potem... potem... na nas kolej klęczeć przed nimi i po rękach całować.

Ada się zerwała oburzona.

— Co ty pleciesz! -- zawołała: to nigdy w świecie być nie powinno i nie może. Kobieta godność swoją uszanować powinna.

Zarumieniona Kasia. dziwnie. trochę szydersko spojrzała na dawną panią.

— Paniuńciu kochana—szepnęła — co to o tem mówić. czego człowiek nie doświadczał! O! zobaczy pani. jeśli kiedy za męża pójdzie. jak to się wiele rzeczy w oczach i w sercu odmieni. Człowiek śpiewa jak ptaszę, póki wolny... i marzy.. a po ślubie... trzeba oczy spuścić w ziemię... i myśl ku ziemi...

Kasia też mówiąc to główkę spuszcila.

— Jeśli ci tak źle—odezwala się Ada... jeśli Rybaki tak niewdzięczny — to go porzuć... przenies się do mnie z dzieckiem...

Kasia się zerwała z siedzenia.

— Mnie źle! A! Panie Jezn Chrystel! Zgrzeszyłabym, gdybym to mówiła... Żebym ja miała męża porzucać, dla tego że się czasem z nim pokłóczę... a bronicie mnie Święci Pańscy! Co też pani mówi! Mnie z nim jak w raju...

— No — to nie mówmy o tem...

Kasia podniosłszy się, zawołała, jakby wzywając męża na świadectwo.

— A chodź-ino tu! słyszysz!

Ruszyło się coś zaraz we dworku, i Rybacki w nowej taratatie, widocznie na prędcie chwyconej, stawił się u progu altany. Ada go dosyć surowym zmierzyła okiem... Wydawał się łagodnym i potulnym... ale powabnym nie był. Toż samo co w Kasi i w nim było widać: zaniedbanie. Młode małżeństwo już się dosyć znało, by się nie potrzebować stroić do siebie i chcieć sobie przypodobać...

— Pokłoużę się pani, że taka łaskawa a o nas pamiętał rzekła Kasia, i rozkaz jej został spełniony.

Ada obojętnych kilka słów rzuciła i zapytań o lasach. Z postawy, z odpowiedzi, z mowy Rybackiego widziała, że wykształceniem daleko stał od żony... i nie był może jej godzien... A jednak — spojrzenia Kasi nań rzucone dowodziły, że go kochała — że jej z nim było dobrze ..

Wszystko to — tajemnice były dla Ady, których odgadnięcia szukała i dla tej pary i dla siebie. Stosunkowo była niemal w położeniu podobnem. Miała i ją spotkać ta metamorfoza, to przeistoczenie motyla na robaka pełzającego po ziemi? to zaparcie się piękna, poezji, wdzięku powszednich życia zaprzątnień...? Miałaż i ona z Robertem przechodzić przez wasnie i spory — i podbijać być zmuszona, aby nie być podbitą?

Kasia szczebiotała już wesoło, przyszedłszy zupełnie do siebie, Rybacki śmiał się i białe zęby pokazywał z pod czarnego wąsika.. odprowadzali ją tak

oboje na drogę... a Ada szła zamyślona. smutna. rozczarowana... i wzdrygała się ciągle.

— Maż i moja przyszłość być tak rozczarowana?... Dziecię—rodzina—kolebka... troski! Ani chwili czasu, ani myślą polecieć w błękity i przepaść! O Boże mój! toż to los nas wszystkich wątłych kwiatków? Serce nas wabi jak wąż w rajn do zguby — na śmierć naszą... Z dziewczyną zasloną spada korona nasza z czoła... Królowa staje się niewolnicą!

Okropnie!

Mieszkanie pana Karola zachowało jeszcze pewne pozory zamożności. pozostałej z dawnych czasów. Najmował on na Nowym Świecie obszerny lokal na drugiem piętrze. za który już od półtora roku nie płacił. Właściciel kamienicy. dobry człek. umiejący w lokatorze poszanować niegdy zamożnego człowieka i kolligata, któremu wrócić mogły dostatki — nie bardzo się naprzykrzał o zaległość. Karol umiał go sobie zjednać grzecznością i serdecznością. która rosła razem z długiem. Mieszkał więc w daleko droższym apartamencie niż był powinien, lecz wynieść się z niego nie było sposobu... Mebelki pozostały z epoki świetnej, mocno tylko przeszarżane, ale zawsze znać było na nich pochodzenie arystokratyczne od Simmlera... Mnóstwo drobnych sprzętów, jak zwykle u marnotrawnych ludzi. ludziło pewną elegancją. należącą do przeszłości. ale pokrywającą terażniejszość smutną. tak. że się jej na pierwszy rzut oka domysleć nie było można.

Z przeszłości także został kamerdyner Paweł. który się do pana przywiązał. miał u niego też zale-

głości, i dzieląc złe i dobre jego losy, był z nim na pewnym stopniu przyjacielskiej poufałości. Prowadzili oba życie. na różne skale, w gruncie jednakowe. Paweł nawet dowcipów się od pana pouczył i sływał niemi między swymi. Jak w starej komedyi Molierowskiej, był to przewyborny Scapin... Dwór pana Karola składał się teraz z jego jednego, resztę posług spełniali przychodzący i najmowani ludzie...

Mieszkanie pana Karola, mające dwa salony i kilka pokoiów, mogło wybornie służyć Robertowi. przyuajmniej dopóki by sobie stosowniejszego nie znalazł. Karol ani mówić nie pozwalał, aby się gdzieindziej mógł umieścić.

Ponieważ Paweł towarzyszył panu w drodze, lokał tymczasowo był na łasce i dozorze właściciela kamienicy... Zastali go więc z powietrzem zatechłym. z grubemi pyłu warstwami. i w nienajlepszym porządku. bo na wyjeździe nie czas go robić było. Robertowi dostał się pokój. w którym acz łóżka nie było. znajdowała się sofa. mogąca być posądzoną. iż je już nieraz komuś zastępowała.

Był wieczór. gdy zmęczeni tu stanęli. a że w domu nawet wody do umycia trudno było dostać. zaprosował Karol pójść się pokrzepić w restauracyi. Poszli tedy do Herteux'a. gdzie Warszawiak miał kredyt. bo był już winien dosyć dużo...

Tu był jak w domu. garsonowie witali go z licem rozradowanem, dowiadując się o zdrowie. kłaniano mu się od wszystkich stołów, znał go cały świat

Robert. który mało bywał w większych miastach, czuł się obcym. i poznać w nim było można parafianina. Nic go nie obchodziło zresztą. że patrząc nań. nśmiechano się — cały świat był w szczęściu swoim i w obawie, jak się to wszystko rozwiąże.

Na smutnej, zamysłonej jego twarzy widać było że go marzenia daleko ztąd niosły.

Z wąsami do góry podkręconemi i zafarbowaną na barwę kasztanową czupryną. obok Roberta i Ka-

rola, stolik zajmował niemłody mężczyzna, wojskowo się trzymający. Przywitał się on z Karolem, zmierzył oczyma jego towarzysza, i pochyliwszy się do ucha, zapytał pół-głosem:

— Kto taki.

— Pan Robert Jazyga.

— He? czy nie syn majora?...

— Jedyny!

Mężczyzna wstał i podniósł ręce do góry...

— Pan Robert Jazyga, syn majora! Pójdź, kochany mój, niech cię uścisknę. Z ojcem razem służyliśmy... Jakże mi przyjemnie!... Może kiedy o mnie wspominał — kapitał Sroczyński.

— W istocie, słyszałem nieraz nazwisko pańskie z ust ojca...

Uścisknęli się tedy serdecznie i usiedli, a tuż pospały się pytania — o zdrowie majora. o powód przybycia do Warszawy i t. p.

Kapitan był gaduła — Karol mu pomagał. Robert, który nie miał ochoty do gawędy. mógł słuchać, odpowiadając to uśmiechem, to jakimś poruszeniem.

— Ale zkądże to panu kapitanowi się wzięło stłować w restauracyi? — zapytał Karol — wszakże...

— Tst! to jest tajemnica! — pochylając się niby do ucha. ale nie zniżając głosu począł pan Sroczyński. — Widzisz. kochany panie, dziś piątek... Nie chcę dzieciom dawać zgorszenia jedząc z mięsem. a z postem jeść nie mogę. Rozumiesz.

Chrząknął. — Dla tego idę pod jakimś pozorem z domu precz, bo mi kapitanowa z mięsem nie da -- za nic!

Smiali się. Kapitan wesał pokręcał.

— Widzicie, chytro, mudo, trzeba ażeby był wilk syty — (to ja) i koza cała (to jejmość moja). Wilk na starość głodu nie cierpi, a koza! ho! ho! żartować z nią nie można? szanować trzeba... Rozumiecie!

Gdy tak zajadali, a Sroczyński zabawić się ich sterał — spojrzal nagle na zegarek.

— Trzy kroki ztąd — rzekł — gdybyście byli łaskawi do mnie na herbatę? co? Pan Robert poniekąd obowiązany jest, ojcowskiego towarzysza broni odwiedzić, a pan Karol nadto jest grzeczny, by mu towarzyszył. He? zobaczycie.. moją magnifikę i pięć słicznych panien, jak jedna. Jest ich pięć! — dodał kapitan — pięć jak oko... Prawdziwe Warszawianki, poczciwe, wesole i ładne... Nie posądzajcie mnie, że bym dla niej tak kawalerów łapał! ho! ho! dadzą one sobie same rady... a magnifika od czego? To nie moja rzecz... alebyście się pośmieli i poweselili.. He?

Karol patrzył na Roberta, ten na niego.

— Kapitanie kochany — rzekł pierwszy — chyba to odłożmy a d f e l i c i o r a. Jesteśmy z drogi, pomęczeni — i widzisz sam — nie ubrani.

— Co? jak to? nie ubrani?

— W surdutach. po obiedzie! wieczorem!

— Przeżegnaj się! u mnie frak jest zakazany! Chodźcie jak stoicie... Herbatą, ręczę wam. doskonałą. Misia ją robi tak, że chińskiego cesarza mógłbym na nią prosić..

Wahał się Karol. Kapitan widział, że na niego powinien był głównie nalegać, i pochwycił go za rękę..

— Chodźcie — co za ceremonie! Nie ma „ale“ — are sztuje i pod sznupcem prowadzę!

Wstał kapitan, a za nim wszyscy, opierać się zbyt nie było powodu.

W istocie, mieszkanie Sroczyńskiego było o kroków kilkanaście, zajmował pierwsze piętro świadczące, że mu się nieźle działo. U drzwi zadzwonił silnie, i wnet z za nich dały się słyszeć śmiechy, głosy i tupanie pospieszne, a gdy się otworzyły, widok bardzo przyjemny oczom przybyłych się przedstawił — słicznych pięć panien, w jednakowych białych sukienkach, z różowymi kokardami w blond włosach. Wszyst-

kie były jakby jednego wzrostu i jednego wieku. i trudno było starszą od młodszej rozróżnić. Typ jeden pięciorako się w nich przedstawił z odcieniami, jakie natura nadawać umie dziewczętom i kwiatkom. Zdawały być niezmiernie do siebie podobne, zbliżka każda z nich miała cechę inną. sobie właściwą...

Zobaczywszy dwóch obcych młodych panów. jak stado kuropatw spłoszone, nagle furknęły wszystkie, trzepiąc się, śmiejąc, wyprzedzając i znikły... Kapitan śmiał się także.

— Myślały, że wracam sam jeden!

W salonie zastali tylko magnifikę. Zasługiwała ona na to imię, była bowiem poważna. otyła. hoża jeszcze i rumiana niewiasta... ale twarz jej dosyć pięknych rysów wyraz miała snrowy i nakazujący poszanowanie. Ceremonialnie przyjęła zaprezentowanych przez męża panów: Karola z pewnym chłodem i obawą. jakby coś o nim już zasłyszała. Roberta trochę uprzejmiej. Choć kapitan baraszkował i rozmowę starał się swobodną uczynić. pani ją wstrzymywała i nie dawała wyjść z powszednich, oklepanych frazesów. Dopiero po dobrej chwili oczekiwania, z przybraną powagą. w porządku wedle starszeństwa. wytoczyły się panmy. które przed chwilą wydawały się tak wesole. z oczkami pospnszczanemi skromnie. Matka je zaprezentowała i nieco zdala zabrały miejsca. nie łącząc się z towarzystwem.

Kapitan poszedł im tam coś szeptać i kilka smieszków tłumionych, ozwało się. ale snrowe spojrzenie mamy. wnet je zmusiło do schowania się w chnisteczki. Groźnie nawet na męża popatrywała magnifika. karcąc go za to. że dziewczętom ich rolę skromną, utrudniał

— Słyszysz Misin — odezwał się kapitan. do drugiej z rzędu. — zapraszają tu tych panów. zapewniłem ich o twym talencie do robienia herbaty — nie uczyniże mi wstydu!

Przestroga ta w porę przychodziła, gdyż w drugim pokoju słyhać było brzęk przygotowawczy filiżanek... I chodzenie około stołu... Misia wstała, i jedna z siostr poszła w pomoc jej do drugiego pokoju, a trzy zostało, przysłuchując się rozmowie i prowadząc drugą po cichu.

Oczy Karola z wielką ciekawością i zajęciem ciągle się ku panienkom zwracały. Trzy pozostałe miały właśnie wszystkie warunki potrzebne, aby mu się podobać — młodzintkie były... Ostatnia liczyła zaledwie wiosen piętnaście, a najstarsza przyznawała się do dwudziestego lata... Świeże były jak pączki, różowe, białe, i oczy miały figlarne, zaczepiające po młodemu, bez złej myśli, tak — z obowiązku młodości!

Karol byłby z wielką przyjemnością przeniósł się do panien i zabawiał się z nimi, ale surowe oko magnifiki pomyśleć o tem nie dawało. Z macierzyńskiej strategią, natychmiast, odgadłszy intencję — odciągała go, zadając mu pytania.

Robert choć patrzył, daleko obojętniej zwracał ku nim oczy. Dla niego nie było na świecie kobiety, tylko ta jedna, której obrączkę miał na palcu, którą wielbił jak ideał. Wszystkie mu się wydawały pospolitemi przy niej i tak ubogo siedzącemi przy ziemi...

Ani nawet przy herbacie, gdy go posadzono obok najstarszej, z którą coś mówić musiał, choć ona nań zdumione, pięknie zwracała oczy, nie rozbudził się do życia... Nie zabawiał też jej pewnie. Za to Karol najmłodszą mając przy sobie, pobudzał ją do nienastannego śmiechu i swawolił — przyzwolicie bardzo, ale może za młodo dla swej łysiny...

W tem towarzystwie zszedł im wieczór dosyć przyjemnie.

Kapitan odprowadził na stronę Roberta po herbatę.

— Kochany mój — jeśli w Warszawie zostaniesz dłużej, masz mój dom otwarty... Proszę cię, bez ceremonii. Wieczorami zawsze prawie jesteśmy w do-

mu... Rozumiesz. pana Karola ja nie inwituję. bo to panicz, z innego świata—jemu tu nie w smakby u nas było...

Kapitan zażył tabaki... i nachylił się do ucha Jazydze.

— Ojca jestem przyjacielem. Nie bardzo tam w te towarzystwa się daj upłatać. Ja cię tu dla łatwiejszego przestrzeżenia przyprowadziłem. Rozumiesz! sza! Są to mili ludzie, ale... płochy... pstro w głowach... Rozumiesz?...

— Ja tu nie na długo przybyłem—odparł dziękując Robert — mało w towarzystwach będę... wolę samotność... Nie nawykłem do nich.

— He? — ale u nas będziesz jak w domu... A teraz... sza!

I kapitan z Robertem wszedł w koło ogólne. przyłączając się do rozmowy. którą żona jego jak biegły sternik kierowała, rań unikając.

Toż samo zaproszenie. pospiesznie i niewyraźnie wymówione, zapewne z obawy. aby go Karol nie usłyszał, odebrał Robert i od magnifiki.

Gdy wyszli — przewodnik rozśmiał się głośno. zwracając do Roberta.

— A co? aussitôt arrivé — aussitôt perdu! Ledwieś wysiadł już cię niewiasty opanowały! Masz pięć do wyboru, a sliczne dzierlatki... Pilnuj serra!

Robert zapewnił, że nie było w niebezpieczeństwie.

Ja. przyznaję się — odparł Karol — ja zarazbym się zakochać gotów—i to w najniodszej. Taka gaska wesola! takie to dziecinne. a w oczach już tyle sprytu!

Robert nie odpowiadał, czuł się nad wyraz zmęczony i smutny. Zaledwie się dostali do mieszkania. które Paweł z cygarem w ustach. otworzył im — poszedł do swego pokoju i padł na łóżko...

Myśl ta, że ona. że Ada przybyć miała. że ją miał widzieć, że znowu mógł z nią swobodniej niż kie-

dy przeżyć godzin parę — a może?? (myśl nie śmiała już pójść dalej) wprawiała go w gorączkę... Znużenie tylko podróżą nspić go potrafiło... a gdy się zbudził nazajutrz. późno już było i starszy pan Karol. co nie tyle mu potrzebował — ubrany chodził oczekując na niego... Śniadanie jakieś Paweł przygotował... Po niem zaraz Karol chciał go prowadzić dla pokazania mu miasta.

— Nie dam ci się zasiadywać i zamarzać! Trzeba być wesółym, słowo daję — być takim powinienieś...

Nie sprzeciwiał się Jazyga. i zaraz też po śniadaniu wyszli. A były to dnie niespodzianek. Jak wczoraj złapał ich kapitan, tak tego ranka wpadli na najmniej spodziewane zjawisko. które im wszystkie plany ich pokrzyżowało...

Szli Krakowskiem-Przedmieściem, kierując się ku Zjazdowi. gdy na przeciwległym trotuarze Karol zobaczył jakąś postać. żywym uchodzącą krokiem. i nagle krzyknął:

— Obłęcki!

Robert zwrócił oczy ciekawie. i w istocie ujrzał pana Mirosława, który słysząc wymówione nazwisko swoje, stanął. jakby nie wiedział co począć, uchodzić lub dać się pochwycić.

Karol przyskoczył, i rękę mu położył na ramieniu.

— Stój. na Boga! przecież my oba jesteśmy twoi starzy przyjaciele! Nie ci się złego nie stanie... Po całym świecie szukaliśmy cię myślami... rychlej ci się na co przydamy. niż zaszkodzimy. Ja. chociem się kochał w twej... ale jakże? ożeniłeś się już? czy...

— Wzięliśmy ślub nazajutrz. .

Karol ramionami ruszył.

— Szczęśliwy! Miesiące miodowe!

Obłęcki spuścił głowę i zapatrzył się w bruk.

— Słuchaj. Obłęcki—ciągnął dalej napastliwie Karol. chwytając go za rękę — myśmy stawali w twojej obronie — nawet ja... Byliśmy i jesteście przyjaciół-

mi. Ja mam tu kupę znajomości—prowadź nas zaraz do siebie... Pokłonimy się twojej żonie—pogadamy...

— Ale... — wybąknął Oblęcki — ale — najchętniej — tylko, że my tak dalece mieszkania do przyjęcia gości nie mamy...

Alboż to my goście! — odparł Bobert rad ze spotkania, które mu Ruszków przypominało — myśmy przyjaciele...

— Spodziewam się! potwierdził Karol... Chodźmy...

— Mieszkam na Dziekance — stłmionym głosem zawstydzony rzekł Oblęcki.

— Ale—choćby na Solcu! co u licha! grzechu w tem nie ma — dodał Karol — chodźmy — jakże ci się prowadzi?

Oblęcki podniósł twarz bladą, oczy wielkie wlepił w mówiącego i nie odpowiedział nic...

— Kochany mój — wszyscyśmy twój heroizm i męstwo — ciągnął dalej pan Karol — admirowali! W uniesieniu byliśmy nad poświęceniem się panny Karoliny...

— To anioł! — krzyknął malarz z zapalem — a ja — ja byłem i jestem najnukeczemniejszą istotą! Teraz mi się dopiero otwały oczy! Egoizm... szal... Uczyniłem ją ofiarą swoich namiętności...

— Zgryzoty sumienia przyszły ci, jak zwykle. mnaszta! po obiedzie, mój drogi — rozśmiał się Karol. Nic nie pomoże skrncha, trzeba myśleć, żeby było co jeść...

— Dziś — jeszcze jeść co się znajdzie — rzekł Oblęcki... — Cóż potem! Ten anioł nawykł do życia pańskiego, do wygod. Do tego ażeby ją otaczały blaski, cisza... spokój — a teraz.. teraz? A! mam sobie do wyrzucenia...

Karol się rozśmiał.

— Kochany mój, nawet w gospodarstwie życia u ciebie nie ma kalkulacyi i porządku. Uważasz... trzy albo cztery miesiące trzeba się poić szczęściem i nie zatruwać go sobie, bo potem ci one nigdy nie

wrócą. Na zgryzoty, rozpaczę, owe wyrzucania na-przód sobie potem jej—czas będzie! Wierzaj mi—na to macie życie całe, a szczęścia tylko te mizerne sto kilkadziesiąt dni. Sam uważ!

Pod chłostą tego szyderstwa umilkł Oblęcki. Zbliżali się ku Dziekance... Malarz ukazał dom bardzo niepoczesny, zabrukany, z szeroką bramą obitą n dołu. na którego drugim piętrze usiał gniazdo...

— Niech panowie będą łaskawi idą powoli, ja po-spieszę przodem i zawiadomię żonę; myśmy do gości nieprzygotowani. Drugie piętro—drzwi na lewo...

To mówiąc Oblęcki pobiegł szybko na wschody, z którymi się oswoić było potrzeba, aby je tak prze-bywać w skokach. Drewniane. zabłocone, stare—tro-chę ciemne, ku górze stawały się coraz mniej bezpie-cznymi. Chwiały się z nich niektóre jak zęby w sta-rej szczęcie... Malowniczy mrok panował w tem wnijs-ciu... Zapach kamienicy różnie dozwalał wnioskować o jej mieszkańcach. Wiadomo to wszystkim nosom, iż każdy dom. jak każdy człowiek, ma swą woń właści-wą. Nie tylko fiołki pachną... smierdzą kamienice...

Ta miała zapach mdły, nieokreślony, dziwny zmieszanej ztechlizny, wilgoci, muru mokrego, tłusto-ści przyskwarzonej. dymu, który się zablakał i nwię-zil... a wszystko to razem połączone dusiło i oddech utrudniało. Takim to wszakże powietrzem żywić się musi znaczniejsza część ludności miejskich...

Cóż dopiero powiedzieć o zakątkach, do których nawet dobroczynny wicher nigdy nie zagląda, aby je z miazmatów oczyścić!

Pan Karol nawykły do wygod — musiał sobie chustką nsta i nos osłonić; Robert, świeżo ze wsi, czuł, że nicby go nie zmusiło zakopać się w takim grobie smrodliwym... Doszli do drugiego piętra... We drzwiach czekał na nich, w aksamitnym surduciku Mirosław... Drzwi te prowadziły do rodzaju ciasnego korytarzyka, jednym okienkiem oświetlonego... z którego kilkoro wnijsć widać było do pokojów. Jedno z nich stało

otworem... W kąciku zabrukana służąca, tulila swe odrapane ubranie, zasłaniając się fartuchem i chcąc widzieć nie będąc widzianą. W kurytarzyku czuć było silną woń wychodzącej nań kuchenki, a w niej przema-gała kapusta kwaszona... W bigosie ma ona swe zale-ty, zdaniem, myśliwych; lecz jako perfuma, wiele zo-stawia do życzenia. Szczęście z kapustą tak się wyda-wało p. Karolowi czemś anormalnem. iż prawie osłu-piał. Po namysle jednak śmiało się posunął dalej.

Weszli do szczupłego pokoju, umeblowanego ubogo. Nie było tu nic, coby neciło oko, coby artystę mogło pociągnąć... rozerwać. Nawet żadnego szkicu na ścianie. Mieszkanie odnajęte od kogoś jak stało—przerazało nawet nędzą. Dwa żółtkłe sztychy za szkłem rozbitem, wyobrażały historję Korteza. przez jakiegoś anglika pojętą tak tragicznie, że pobudzała do śmiechu. Kanapka. kilka krzeseł, stoliczek chwie-jący się... na kominku zegar dawno umarły... nic wię-cej. Dwoje drzwi zamkniętych wiodło dalej. Spuszczony stor w jednym oknie — szczęściem nie dawał się bardzo rozpatrywać w ubóstwie—w nędzy raczej tego nieszczęśliwego mieszkania.

Obłęcki wprowadziwszy swych gości, poprosiwszy ich siedzieć — sam, jakby zawstydzony, oparł się o ścianę i nie mówił słowa. Karol, zawsze wesoły, tu stracił zwykle usposobienie płoche — dla niego nawet miała swą uroczystość i powagę ta nędza dobrowolna, dla serca, dla miłości podjęta przez dwoje ludzi — co pragnęli być z sobą i żyć dla siebie.

Robert osowiałem rozpatrywał się oczyma. Znał on ubóstwo i niedostatek wiejski. łachmany że-bracze. chatę zadymioną zagrodników—nie miał wyo-brażenia o tej nędzy miejskiej. co niby jest zamożno-scią, a pod bielidłem trupiem kryje rany i niewysłó-wione boleści. To było coś niemal strasznego nad chatę walącą się, z której wyjść było można. odetchnąć czystem powietrzem... Z za drzwi zamkniętych nie sły-chać nie było. Obłęcki poszedł do jednych z nich za-

pukać z lekka. Szelest sukni dał się słyszeć... Karol stał naprzeciw nich smutny i prawie gniewny na tego człowieka, co śmiał los taki zgotować nieopatrznej kobiecie. Powoli otwarły się one, i w skromnem bardzo ubraniu, w dużej chustce podpiętej na szyi, ukazała się pani Karolina... trochę mniej różowa, ze śmielszem niż dawniej wejrzeniem, lecz bez tego wyrazu smutku i zwątpienia, jakich się było można spodziewać.

Zachowała całą swą piękność i prawie świeżość swą dawną— a jednak zmieniona była do niepoznania.

To dziewczę nieśmiałe stało się dojrzałą i mężną niewiastą—z uśmiechem na ustach, rumieniąc się już mniej daleko, niż za owych dobrych czasów, wyszła spokojnie, witając dawnych znajomych.

— Jacyż to mili, a tak niespodziani goście! — odezwała się po cichu—mogłiżemy nawet zamarzyć o tem Ale jakże się to stało? Mirosław nie miał czasu mi powiedzieć.

Karol odzyskał trochę śmiałości...

— Spotkaliśmy się na ulicy—rzekł.—Myśmy tu dopiero od wczora, ja przez czas jakiś nie byłem w mieście. Ale jakże ..

Nie mógł dokończyć?... Obłęcka podniosła oczy—spojrzała na męża, który wejrzenie miał w nią wlepione ciągle.

— Jak się to stało?—dodała głosem zniżonym... Któż to dziś opowie!... A! panie, wśród największych pieczętów można być bardzo nieszczęśliwą — pod najtroskliwszą opieką, w której czuć serce, mogą ciężać kajdany... Przychodzi chwila... i... spełnia się przeznaczenie... Cóż pan chcesz? ja jestem szczęśliwa... Mirosława mi tylko żal... bom ja dla niego kamieniem u szyi.

— Karusiń! zlituj się! — krzyknął Obłęcki—ty jesteś moim aniołem stróżem...

— Gdybyś mi się dał prowadzić!—dodała pani...

— Alboż nie jestem posłuszny...?

— Nie dosyć — odpowiedziała spokojnie ciągle Karolina. Sądźcie panowie sami. Mirosław jest genjuszem, ja to mu przyznaję. A! tak! ale i genjusz musi się poddać konieczności, a robić to... co mu los w ręce poda... Czyż mu to uwłacza? W duszy może tulić i pieścić swe ideały. a ciężkim życia wymaganiom trzeba coś poświęcić. Czyż jeden malarz szyldy był zmuszony robić?

To mówiąc wstała z kanapki.

— Już choćby się Mirosław gniewał — ja go zdradzę... — rzekła; — pójďte panowie. zobaczcie co maluje. Są to rzeczy tanie, małe, zamówień trudno dostać — ale on we wszystko umie tchnąć ducha...

Mirosław chciał protestować — z lekka go odtrąciła Karolina i otworzyła drzwi drugie... Była to... niby pracownia... Okno duże. u dołu sciereczkami zawieszona, blade światło dawało...

Na bardzo lichej staludze stał obraz niewielki. Kilka szkiców i pociętych płócien wisiało na ścianach. Były to obrazki do większych kościołów i ołtarzyków, wedle wymagań i tradycyi malowane... Karolina miała słusność — bo Matka Bozka Częstochowska nawet, będąca kopią setną bizantyjskiego wizerunku pod pędzlem Mirosława nabrała wyrazu, który z tego złoconego i na pozór pospolitego płótna czynił dzieło wysokiej wartości.

Karol patrzył milczący...

Jaskrawy S-ty Mikołaj z dziećmi, którego sobie z pobliskiej wsi zamówiła gromada, prosząc aby im pięknych farb nie żałował — miał naiwny wdzięk Peruginowski...

Obłąki wstydzając się tych robót. krył się za sztalugami i wzdychał. Karolina w Ruszkowie nabrawszy smaku i pojęcia sztuki, ocenić umiała roboty męża...

— To nam da chleb, a my dużo jeść nie potrzebujemy — odezwała się łagodnie. Mirosław tymczasem coś

obmyśli, na pomysłach mu nie zbywa—ja zaś dosiedzę, dopilnuję—przymuszę, aby cierpliwie wykonał, i nie zrażał się, gdy to co miał w duszy, całe na płótno nie wyszło!

— Wiesz pani? — odezwał się w téj chwili Karol—słyszałem to od Ady, że małżeństwo i pani dopiero z Mirosławą uczynisz prawdziwego artystę. Miała słuszność.

Na wspomnienie Ady zarumieniała się mocniej Karolina i—zamilkła.

— Łajano mnie tam bardzo?—spytała.

— Żałowano tylko — rzekł Robert: słyszałem z ust pani Ady tylko wyrazy współczucia... Powtarzała nie wiem ilekroć, że z otwartemi rękami przyjęłaby ją...

Pani Obłęcka wstrząsła się dziwnie...

— Bardzom wdzięczna — rzekła zimno... My sobie damy jakoś rady na świecie, nikomu nie będąc ciężarem... Prawda. Mirosławie?

Obłęcki popatrzał na nią, składając ręce jak do modlitwy; nie rzekł nic... Oczy jego chodziły za spojrzeniami gości: widać było, że go oglądanie tych płócien bolało...

Po chwilce—wyszli nazad do pierwszego pokoju... Karolowi widok tej biednej Sensytywy w szarej chustce grubej, w perkalowej sukience, z twarzą smętną, tak był przykry, iż chciał ich co rychłej pożegnać... Karolina wstrzymała Roberta.

— Posiedź pan choć, jeśli masz czas...

Jazyga został — ciągnęło go tu, że mógł mówić o niej, o Ruszkowie... Pożegnali się więc z Karolem, który interes pilny zmyśliwszy, uciekał... i Robert wrócił z Mirosławem do ubogiej izdebki...

Zaledwie usiadł, pani Obłęcka pochyliła się ku niemu. i z wyrazem życzliwości odezwała się:

— Umyśliem pana zatrzymała... Jestem ciekawa... Daruj pan... Ja wiem wszystko... To niedyskrecya? Dla czego pan oddaliłeś się od Ruszkowa... Cóż pańskie nadzieje?

Jazyga się zmieszał nieco...

— Jam panu była i jestem życzliwa—dodała Karolina, z wielką powagą i pokojem — mówmy otwarcie, gdyśmy się tu raz spotkali. Wielebym panu miała do powiedzenia... a! bardzo wiele!

— A ja—odparł Robert — choćbym chciał, nic mówić nie mogę.

— Tak—ja to rozumiem... Panie... jak mi go żal!

Złożyła ręce białe, na których Jazyga dostrzegł śladów już widocznych pracowitej igły, która je grubą skórą okryła...

— Mnie? — żał pani? — odezwał się Robert...

— To pana dziwi? — rzekła Oblęcka... Mnie pana żal... bo—bo... ja ją znam. W niej duma zabija serce... w niej ona zabija nawet miłość prawdziwą. Ona się urodziła i umrze królową... Krystyną szwedzką, królową Elżbietą angielską.

Z oburzeniem porwał się Jazyga.

— Pani jesteś niesprawiedliwą dla niej—zawołał.— Nie godzi mi się brać w obronę pani Ady, nie mam do tego prawa... ale—protestuję.

Widząc oburzenie, usmiechnęła się Karolina.

— Myślisz pan, że jej nie szanuję, i nie uwielbiam nieraz?—rzekła.—Jest to istota wybrana... a! ja temu nie przeczę... lecz kto myśli, że to bóstwo, co na ołtarzu stańło, ściągnie ku sobie na ziemię — a! panie—ten się omyli...

— Pozwól mi pani powiedzieć, żeście się nigdy nie rozumiały—odpowiedział Robert—dla tego może obie widziałyście w sobie tylko to, co wzajemne niechęci usprawiedliwiało.

— Ale ja ją kocham, szanuję, i jestem jej wdzięczna, choć mnie uczyniła męczennicą przez swe dobre serce, a nieznosny despotyzm — mówiła Karolina. Wierz mi pan! Tylko — nie wierzę, aby kiedy kochać mogła i przestała być — królową...

Robert się usmiechnął trochę szydersko i zmilczał.

— Jeżeli pan nadzieje szczęścia swojego złożył w jej ręce... a! panie! żal mi go z duszy!

I na to nie odpowiedział Jazyga...

— Przepraszam pana — zakończyła Karolina — tak mi się to wyrwało... Sama nie wiem czemu. Miałam potrzebę to mu powiedzieć... byłam zmuszona — przebacź!

I podała mu rękę drżącą, powtarzając:

— Nie gniewasz się pan?

— Jam pani wdzięczny za dowód jej przyjaźni — a choćbym na moment ucierpiał...

— Coż robisz w Warszawie? — wtrącił w tej chwili Oblęcki, który przez czas rozmowy kręcił się i wił jak na mękach... napróżno żonie dając znaki, aby ją przerwała.

— Ja? ja? — podchwycił Robert — przyjechałem z panem karolem, z którym spotkalismy się na Litwie.

— Na długo?

— Nie wiem. Ojciec sobie życzył, abym się trochę przejechał...

— Ojciec pański miał wielką słusznosc — dodała Karolina — panu potrzeba było wyrwać się z tej atmosfery...

— Która mi była najmiłsza... — rzekł Robert.

— Ale którą nie mogąc oddychać zawsze, nie do brze się do niej przyzwyczajać — dokończyła Karolina z uporem, ale ze spokojem, który jej nie opuszczał.

Ja mam nadzieję — dorzuciła, że choć pan się może pogniewałeś na mnie — ale dla tego nie zapomnisz o starych znajomych... Mirosław nie ma do kogo przemówić słowa — ja go musiałam znudzić jak pana... Dla niego dobrodziejstwem będą odwiedziny — a ja — zaprzysięgam że już nic — nic — nie powiem nigdy!...

Wypowiedziałam wszystko — resztę powie... czas za mnie.

Tak się skończyła ta rozmowa, po której Robert spodziewał się pociechy. a znalazł w niej tylko naj-

przykrzejsze wrażenie. Wyszedł z niem. rozdrażniony. niespokojny. gniewny może dla tego, że mimo całego uwielbienia ku Adzie, które go ślepym czyniło — nieczuł. iż Karolina trochę słuszności mieć mogła..

— Jest niesprawiedliwa! niewdzięczna! — mówił w sobie...

Chciał myśli te rozpędzić—a trwoga go ogarniała coraz większa... To proroctwo, które mu szczęściem zachwiała, niepokoiło go—nie wiedzieć dla czego... Śmiesznem to znajdował... Właśnie ona przybyć miała, dla niego.. a on—on—śmiał wątpić o jej sercu! To co Karolina mówiła, tłumaczyło się jasno aż nadto — osobistemi jej nrazami... Odepchnąwszy złe przeczucia. Robert pośpieszył do Karola. który mu godzinę i miejsce schadzki nazначzył u Bonquerel'a. Wymówił sobie Jazyga tylko, że tego dnia on przyjmuje, na co chętna nastąpiła zgoda. Szlachcic potrzebował wystąpić, i wołał przybyć trochę wcześniej, aby obiad zamówić jak najwytworniejszy. Jemu to było rzeczą dosyć obojętną — ale wiedział, że Karol jest smakoszem... Zabrał się więc do konferencyi z głównym garsonem, poddającym mu co było najkosztowniejszego, gdy—ledwie m e n u nmówione było, ukazał się pan Karol.

Już mieli wejść do gabinetu osobnego. gdy w progu zatrzymał ich, a raczej Karola, bardzo piękny, wysokiego wzrostu. pańskiej postawy mężczyzna, nader starannie ubrany, choć nie nazbyt już młody.

— C h a r l e s ! jak się masz! — zawołał — czekaj! I wstał z za stolika wykałając zęby...

— Cóż to ciebie nie widać! co się z tobą stało? — mówił wesoło... — Czy i ty z kolei, nie wiem który, kochasz się w tej bozkiej Adzie, co pozwala sobie palić kadzidła. wielbić się — padać przed sobą—aż póki jej to nie znudzi?

Karol chcąc powstrzymać mówiącego, syknął — ale—to było niepodobieństwem.

— Cóż ty mi jej będziesz bronił!—rzekł piękny mężczyzna... Jać przecie należę do tej legii odprawionych. co przez kilka tygodni mieli nadzieję... Wzdychaliśmy do siebie... o włos żeśmy się nie zaręczyli. Nagle! jak to u niej zwykle bywa... fantazyja wzięła nad sercem górę.. i—precz!

— Ale, mości książe... cóż bol...

— Bronisz jej—e h b i e n... ja ci powiem. pod słowem honoru, że dwa tygodnie nosiłem jej pierścionek, niby żartem dany, niby doprawdy... Jednego poranku czy wieczoru, zlekła się mnie i małżeństwa. — Adieu! c'est comme ça!...

Ale jest mimo to... ideałem...

Słyszałem—ciągnął dalej, nie zważając na skrzywionego Karola—słyszałem żeś tam już jeździł, podobno dwa razy. Sumienie mi cię ostrzedz każe, ażebyś się nie łudził. Jest to znakomita ze wszech miar pani... lecz... nie miała serca nigdy.

— Chyba dla tego, że dla was, mości książe—rzekł Karol — nie...

Książe się rozśmiał.

— Nie dla mnie jednego! wierzaj mi — prób było wiele — a ja do mojej, wielkiej nie przywiązywałem wagi... Być może, iż ty będziesz szczęśliwszy... powinszuję ci; ale tymczasem nie wierzę i nie uwierzę póki nie pójdziecie do ołtarza... I tak nawet... lękałbym się na jutro rozwodu!

Książe śmiać się począł, Karol popatrzał nań, odpowiedział pół słowem tylko. i pożegnawszy wszedł z Robertem do gabinetu. Tu spojrzawszy na twarz bladą, żal mu się go zrobiło...

— Słyszałeś?—spytał.

— Niestety! — odparł Robert — nie mam prawa ust zamykać nikomu, alem miał wielką ochotę rękawiczką go zadławić...

Drżał cały.

— Nie bierz tego na seryo — rozśmiał się Karol. Książę jest odpalonym konkurentem. Cóż dziwnego! Co się tycze tego co plótł. powiem tylko. że znamy go z kłamstwa i blagi. Do słów jego, zapewnień. opowiadań. nikt najmniejszej nie przywiązuje wagi... Wszystko co mówił, wierutny fałsz... Nie wiem czy kiedy dwa tygodnie był w Ruszkowie, a ręczę, że nigdy żadnego nie otrzymał pierścionka, chyba go sam pochwycił...

Robert nie mógł jeszcze przyjść do siebie... Po głowie chodziły mu razem i przestrogi Karoliny i sztyderstwa tego księcia — bolało go... Pragnął, aby co rychlej rozwiązały się wątpliwości — aby Ada napisała stanowczo. Lękać się zaczynał... choć nie miał najmniejszej przyczyny...

To usposobienie smętne w chwili gdy obiad podawać miano, bardzo obeszło Karola, więc z całych sił starał się oddziaływać przeciw niemu. Obrócił w śmiech trwogi... Księcia odmalował w najdziwniejszych barwach. jako człowieka, na którego nawet się gniewać nie było warto... Niewiele to pomogło. Robert siadł do stołu wzburzony i nieprzytomny... Nie pozostawało Karolowi nic. tylko biorąc na siebie rolę gospodarza, poić towarzysza i siebie... Dał sobie nalewać Jazyga, spełniał machinalnie, i skutkiem administrowanych mu leków poweselał trochę. Wesołość to była sztuczna. zaprawna żółcią -- niezdrowa. Przetrwali u stołu długo, — obiad był dobry, a Karol się nim rozkoszował... Zmierzchno już. gdy się ruszyli. Dokąd? Jeden tylko teatr pozostawał... Był on niemal nowością dla wieśniaka. a nic jednak nie widział. Oczyma błądził po scenie i łóżach, myślą będąc gdzie indziej...

Następny dzień zszedł na rozmaitych rozrywkach. Wieczorem Jazyga wyprosił się od nich i zasiadł do książki. Karol nic mu nie mówiąc. oczekiwał co chwila listu z Ruszkowa. Spodziewał się try-

umfu, chciał nim go nagle uszczęśliwić, obiecując przybycie Ady. Jakim sposobem mógł się pomylić tak okrutnie i ufać, że przybędzie, to chyba na karb jego lekkomyślności złożyć potrzeba. Trzeciego dnia rano przyniesiono mu list Ady... Szczęściem odebrał go, gdy był sam... Z początku nie mógł zrozumieć, usiłował sobie tłómaczyć — ale odpowiedź była ta kategoryczna, że ludzię się nie mógł...

Pomyślał co ma czynić?

Postanowił nie mówić nic Robertowi, połknąć cicho, i czekać jakiegos samego z siebie przyjść mającego końca... W duszy pogniwał się mocno na Adę: żał mu było Jazygi.

Przecież on do niej, ona do niego uapisze... wytłómaczą się.. porozumieją — a ja... póki życia w cudze sprawy serdeczne wdawać się nie będę... Głupia rzecz... Książę, który zawsze kłamie... na ten raz mógł może prawdę powiedzieć. Któż kiedy kobietę zrozumie!

Placąc Robertowi za zawód, którego miał doznać. Karol starał go się rozerwać, i czuwał nad nim z troskliwością braterską. Robert się po trosze usuwał — wolał być sam... Tak więc w parę dni poczęli się tylko spotykać z rana i wieczorem. Robert czytał lub błędził po ulicach bez celu: raz zaszedł do Oblęckich na chwilę... Ada nie dawała znaku życia... Czekał listu — nie nadchodził... Niecierpliwosć i niepokój rosły. Jednego wieczoru wreszcie, wracając do domu, na stoliku znalazł list Ady. Pochwycił go z niecierpliwoscią gorączkową.

Karol, który go przeprowadzał i zobaczył z dala kopertę — usunął się natychmiast...

Rzuciwszy się na łóżko, Robert czytać zaczął... Czytał.. w oczach mu się śmiło... List był czuły, był pełen na pozór tęsknoty i miłości, a czytając go czuł Jazyga, jakby go inna ręka, inne serce pisało. Było w nim nie to ciepło co w dawnych, ale jasny, świetny chłód, który nurozem go przejmował. W pół listu —

przerwał go... Zdało mu się jakby to było nie jej pisanie, jakby ktos obcy dyktował. Nawet charakter ręki był zmieniony, staramiejszy... Spójrział, potrzebował odetchnąć, opamiętać się... Dusiło go coś w piersi. tchnąć nie mógł... Rozmiał, że Ada nie przyjedzie, że nadto jest dumną, aby wbrew woli ojca, syna mu odebrać miała... że mu kazano czekać i cierpieć... Wszystko to byłby zniósł i poddał się wyrokowi... lecz list ów mówił więcej niż chciał, znaczył co innego... zapowiadał niemal zerwanie...

Z przed oczu jego bliskość szczęścia nagle usunęła się, uciekła, znikła w jakiejś dali niepochwyczonej.

Wszystko z tej ćwiartki papieru tajemniczej mówiło o ostygnięciu i zerwaniu. Miała fizyognomię ceremonialną, styl urzędowy—mówiła tak, jakby już nic do powiedzenia nie miała, i z obowiązku tylko—przez grzeczność chciała ranę zagoić... Nawet czulsze wyrażenia strzeżły się zbyt dobitnej frazeologii... Była w niej już i przyjaźń, i szacunek, i pamięć życzliwa—ale miłości nie było.

Robert, proste chłopię, nie pojmował jak serce mogło się tak nagle zmienić i zestarzeć... Było to dlań nierozwikłaną zagadką. On, co nie znał życia, zdumiewał się temu bardzo prostemu fenomenowi, jak czemuś nadzwyczajnemu... Czytał i odczytywał, mróz mu przechodził po ciele... poczuł się osamotnionym, nieszczęśliwym, zgubionym... list schował do kieszeni i wstał.

Nie miał już tu co robić! Zostawał mu ojciec, przeciw którego sercu przewinił... trzeba było powracać do niego.

Karol chodził po swoim pokoju, domysłając się poniekąd co się stało, obawiając się żalów, wyrzutów i ciężarów, jaki mógł spaść na niego.

Wszystkiego tego — Ady, Roberta, Ruszkowa... miał dosyć i aż nadto. Myślał tylko, jak się pozbyć

ich wszystkich... Ady obiecywał sobie nie widzieć tak rychło.. Zostawał mu Jazyga, który go nudził; nie przypadał mu ani do jego wyobrażeń, ani do obyczaju — a wisiał na karku... Rad był w jakikolwiek sposób zrzec się tej opieki i zwrócić do dawnej swobody.

Dumał nad tem kręcąc w palcach cygaretkę, gdy Robert blady, pomieszany wszedł do pokoju. Jemu także ciążyło to, że był na łasce czyjejś i z życiem swem musiał się do gospodarza stosować.

— Chciałbym, rzekł — przenieść się do hotelu.. Niedługo tu już zabawię, mam jeszcze trochę zajęcia...

Splątał się, nie wiedział jak się tłumaczyć.

— Ja—odparł Karol roztargniony—ja także prawdopodobnie wyjechać będę musiał na dni kilka i Pawła zabrać z sobą.

— Więc to się bardzo dobrze składa — rzekł Robert — ja natychmiast się wybieram. Nie wiem, być może, iż jutro lub po jutrze... wyjadę do Żablszek.

— Jak to! już? — spytał trochę zmieszany Karol—i—nie będziesz czekał?...

— Wątpię, bym się mógł czegokolwiek tu doczekać, rzekł Jazyga—ale też nie spodziewałem się...

Karol, który tak wprzód upewniał i zaręczał, zmilczał teraz i dodał:

— Z temi kobietami nigdy być niczego pewnym nie można...

Tak, chłodno, przyjaźnie, ale obojętnie się rozstali. Robert nazajutrz rano posłał po dorózkę i kazał się zawieźć do Angielskiego hotelu, gdzie uczuwszy się jakoś niedobrze, ubrany w łóżko się położył.

Bolala go głowa, miał pragnienie, był senny — dziwnie jakoś nie swoim się czuł i osłabłym. Nie nawykły jednak zważać na małe dolegliwości... postanowił jeszcze dnia tego odwiedzić Obłękich, aby mózgi potem wyjechać gdy zechce.

Na gwałt więc wstał z łóżka, ubrał się, i choć czuł, że mu się trochę w głowie kręciło, a dreszcze po plecach przechodziły — poszedł na Dziekankę. Mirosława i jego żonę zawsze w domu zastać było można. Gdy zapukał, ponieważ służącej nie było, a Oblęcki siedział jeszcze przy robocie, Karolina, w tej samej chustce szarej, z pończochą w rękę, drzwi mu otworzyła. Spojrzała mu na twarz.

— Nie chory pan jesteś? — zapytała.

— Tak trochę mi nie dobrze — odparł Robert, zmuszając się do uśmiechu. Przyszedłem pożegnać państwa... prawdopodobnie wyjadę wkrótce... Nie wiem, może jutro...

— Miałeś pan zabawić dłużej?

— Tak. się złożyło — rzekł smutnie Robert, który wszedł był do saloniku i siadł. bo czuł, że mu po przejściu wschodów słabo się zrobiło.

Wstydził się sam przed sobą tych symptomów choroby. której ani pojmował, ani przypuszczał, ażeby od silnego wrażenia pochodzić mogła. Walczył z nią mężnie. Pierwszy raz w życiu był tak przybity jednym uderzeniem... nie umiał mu się nawet obronić.

Karolina raczej się domysliła, niż zrozumieć mogła co to było — tknęło ją, że Jazyga musiał doznać jakiegoś niespodzianego zawodu. Przeczucie jej wskazało Adę.

— Pan zupełnie dziś wyglądasz... jakbyś był bardzo nieszczęśliwy! — rzekła. Co panu jest?

— Zmęczony jakiś jestem — ożywiając się gwałtem odparł Jazyga — może ten rodzaj życia nowy, do którego nie nawykłem... Ale chodźmy do Mirosława...

Wszedł do pracowni, Oblęcki stał przy obrazku, cały nim zajęty; odwrócił głowę.

— Jak się pan masz? pozwól — muszę tu coś dokończyć.

— Kończ... przyszedłem tylko pożegnać.

Oboje Oblęccy uderzeni byli i wyrazem twarzy. i głosem zmienionym Roberta... Mirosław pospieszał z robotą, aby przyjmować gościa. którego Karolina z oczu nie spuszczała.

— Nie powiesz mi pan co mn jest?

— Mnie? — uśmiechnął się Robert — nic a nic, oprócz zem zmęczony Warszawą. Nawykłem do wiejskiej ciszy, do życia spokojnego...

— Cóż się dzieje z panem Karolem?

— Nie wiem — wyniosłem się od niego. Mysłę. że musiał do swojego trybu życia powrócić, do którego lękam się, czy mu nie zawadzałem...

Odpowiedzi te nie mogły zaspokoić Karoliny. która czuła pod niemi kryjącą się jakąś tajemnicę; ale już badać więcej nie śmiała...

Robert zabawił chwilę jeszcze z Oblęciami i pożegnał ich ze smutkiem jakimś niezwykłym mu.

— Kiedy i jak się zobaczymy na tym świecie — wie Bóg jeden — rzekł do Karoliny; — zachowajcie mnie państwo w dobrej pamięci...

Wychodził już, gdy żona szepnęła Mirosławowi:

— Odprowadź go, jemu coś jest — on może nie dojsz do domu..

Oblęcki. choć tego niebezpieczeństwa nie widział, posłuszny wziął kapelusz i towarzyszył pod jakimś pozorem odchodzącemu. Na dole Jazyga musiał się zatrzymać nieco, miał zawrót głowy. robiło mu się słabo. Nie chciał się do tego przyznać. Wstyd mu było samego siebie.

— To się trafia i mnie — rzekł Oblęcki — doświadczam czasem takich zawrotów... daj mi pan rękę — pójdziemy razem...

Robert opierał się, że natychmiast będzie mógł iść o swej sile — poszedł w istocie, lecz Mirosław widząc, że się chwieje, nieznacznie rękę mu wziął i poszli razem..

Zbliżali się już do hotelu... gdy Robert o ścianę oprzeć się musiał. Właśnie w tej chwili przechodzący kapitan Sroczyński poznał go i przybiegł.

— Co to mu jest?—spytał niespokojny.

— Nie wiem—rzekł malarz. Jesteśmy dawni znajomi, był łaskaw nas odwiedzić. W drodze mu się źle zrobiło...

Kapitan posłyszawszy to, natychmiast dotarł do chorego i do ściany.

— Jak się masz? co to? słabo ci? Do stu fur— syn żołnierza—chłop jak dąb... czy z obiadu?

— Nic nie miałem w ustach prócz wody — odparł Robert—ale to nic... zmęczenie...

— Gdzie mieszkasz? z panem Karolem?

— Nie — w hotelu...

— Chodźmy do hotelu! — zawołał kapitan... i podał mu rękę, a widząc, że Mirosław stał niepewien co robić z sobą, dodał: — Bądź pan spokojny, ja go biorę w opiekę. to dosyć...

Scisnąwszy rękę Jazygi, malarz odszedł. w istocie najniepraktyczniejszy z ludzi z chorymby był sobie rady dać nie mógł. Przeciwnie kapitan czynny. żywy. bywały, żadnego się nie uląkł wypadku, a lubił gospodarować.

Poszedł więc na górę do pokoju Roberta — i tu sam najprzód starał się poznać co mu było...

— Pierwsza rzecz—rzekł—rozbieraj się i do łóżka! Doktor nie pilny. bo on tu tyle zrozumie co i my oba. Nie ma nic jeszcze zdeklarowanego. Ja po trosze doktor jestem. trochę konował. W pułku kurowałem konie regularnie, a ludzi czasami, i nieźle mi się ndawało. Masz gorączkę — ale gorączka to oznaka. że coś idzie... a nie wiadomo co...

Napij się co gorącego. Gdyby tak ze mną grokubym palnął... ale nie namawiam...

Robert się zgodził na herbatę z cytryną i — starał się wmówić w kapitana. żeby go własnemu losowi zostawił.

— Ale! co zaś! — zawołał Sroczyński — nie mam nic do roboty... posiedzę... a ty śpij... lub... pójdę na dół i wrócę za godzin parę. Drzwi mi nie zamykaj. bo wybije... Ja jestem starego autoramentu człeki! Pan Karol nie przyjdzie do chorego... co innego my...

Wyszedł na palcach Sroczyński... Robert zaczął marzyć — gorączka mu odjęła przytomność. W parę godzin wcale już nie wiedział co się z nim działo. Szczęściem... czuwał poczciwy Sroczyński...

Wieczorem już nieprzytomnego rozebrano. okryto... ułożono do łóżka... Lekarz przybyły widział w tem gorączkę, która niedobry przybierała charakter... Posadzono u łóżka staruszkę, mającą pilnować chorego... Sroczyński też nie odstępował go, przebiegając tylko z Krakowskiego na Wierzboową...

Rano na drodze spotkał się z panem Karolem — i będąc pewien, że on także wraca od chorego. rzekł mu:

— Jak sądzicie? nie ma niebezpieczeństwa?
— Gdzie? jakiego — spytał zdumiony pan Karol..
— A—z Jazygą?
— Cóż się z nim stało?
— Od wczoraj — dostał gorączki. nie wiadomo co to jest...

Pan Karol, który jak każdy zdrowy człek lubiący życie. miał wstręt do chorych—przeraził się. Czuł, że mu wypadało... okazać jaką troskliwość.

— Cóż to za niespodziane nieszczęście!— zawołał... Poszedłbym do niego... a tu właśnie na wyjeździe jestem w pilnej sprawie. Konie zaprzężone na mnie czekają.

— To trzeba jechać!—odezwał się kapitan. My go tu dopilnujemy... Jak myślicie, daćby znać ojcu??

— Sądzę, że na to czas będzie.... gdy—gdy się okaże... Pan kapitan mówi, że to jest...?

— Gorączka. decyduje lekarz... ale jaka, Bóg wie...

Karol przemówił jeszcze słów kilka i pierchnął.

— A toby było pięknie, gdyby go ta choroba u mnie była zaskoczyła! Nuż tyfus! ja się tak lękam tyfusu...

Pobiegł do mieszkania, aby je co najprędzej zacząć przewietrzyć. Któż wie? mógł tam zostać jakiś miazmat chorobliwy... Wbiegłszy tu... na myśl mu przyszło... pomścić się trochę...

Niedługo się zastanawiając usiadł do stolika.

„Chère cousine! począł — list ten kreślę na prędce... Pan Jazyga wczoraj rano, jakiś list odebrawszy, wyniósł się odemnie... Mówią mi dziś, że leży choroby na gorączkę, której natury lekarz nie oznaczył... Zawsze to coś niedobrego... Lękając się, abys zmieniwszy postanowienie, nie pomyślała czasem o przyjeździe do Warszawy, czuję się w obowiązku oznajmić o tem... Sądzę, że towarzysz broni jego ojca, zapewne tu go sprowadzi... a rodzicielska opieka rychło mu zdrowie przywróci...”

Bilecik ten na prędce nakreślony, natychmiast rzucić kazał pan Karol na pocztę—mówiąc w duchu:

— Une fois pour toutes, je m'en lave les mains! Szczęście jeszcze, że z tej galery, choć wpływ się wyratowałem!!

Ażeby przykre zatrzeć wrażenie, dobry, serdeczny, pocziwy Karol poszedł wieczór spędzić w poufałym towarzystwie kobiecem... i wrócił późno do domu—zupełnie uspokojony...

— Nic na świecie na sumieniu nie mam... To się każdemu trafić mogło! Chodził do Obłękich... mefityczne powietrze! Dosyć tego jednego, aby dostać nie jednej, ale kilku szkaradnych gorączek...

Kapitan Sroczyński, który gorliwie się krzątał około chorego — na trzeci dzień nie doczekawszy się przesilenia, zdecydował się napisać do ojca... Ułożył list jak mógł najłagodniej, najostrożniej, ażeby go nie przerazić zbyt znacznie... i wysłał. Choroba przybierała groźne symptomata, rozwinęła się jako tyfus niedobrego charakteru, lekarz jednak nie rozpaczał. Ro-

bert był młody, zdrow i sił miał wiele... Należało się spodziewać, że kryzys szczęśliwie przejdzie...

Magnifika. przed którą kapitan nie tail natury choroby i nazwiska. chciała mu zabronić bywania u Roberta. ażeby uchowaj Boże „nie naniósł“ nieszczęścia do domu: lecz Sroczyński, zgodziwszy się na desinfekcyę w sieniach — stanowczo się oparł żądaniu kapitanowej.

— A co to ja — taki pan Karol jestem czy co? co do zabawy kolega. a w chorobie dezenteruje! To się po mnie nie pokaże... Octem się będę nacierał — a chodzić muszę...

Ledwie Sroczyńskiego list wyprawiony został, gdy tegoż samego dnia, jakby cudem — major Jazyga zjawił się w Warszawie.

Owo niedorzeczne, na żart rzucone, przypuszczenie Erdziwiłła, że się może Robert spotkać w mieście z panną Adą, tak utkwilo w umyśle majora, że kilka dni z niem walcząc, w ostatku wziął pocztę i poleciał w ślad za synem...

Nie wiedząc gdzie go szukać, dopytał się do pana Karola naprzód. Było to rano jeszcze, a po nocy dosyć dramatycznie spędzonej zasypiał gospodarz, gdy Paweł zbudzić go przyszedł, oznajmując przybycie majora... Zrazu nie mógł zrozumieć Karol co się stało — jeszcze oczy przecierał, gdy ze śmiechem i wesołą miną wszedł Jazyga...

Widmoby było nie przeraziło bardziej pana Karola. Chciał go się na wszelki sposób zbyć co najprędzej.

— Syn pański leży — trochę chory — w hotelu Angielskim... pod opieką kapitana Sroczyńskiego — rzekł żywo

Zaledwie uszom wierząc, major przyskoczył do łóżka...

— Robert — chory? gdzie — chory? Cóż mu się stało? Przypadek.

— Jakaś febra — nie ma nic strasznego — odparł Karol. Pan mi darnie — ja sam zdrow nie jestem. Niech pan raczy, niedaleko ztąd do kapitana Sroczyńskiego się udać—Paweł mój zaprowadzi—kapitan jest o wszystkim lepiej odemnie uwiadomiony...

Uderzony raptowną tą wiadomością i zmienionem jakimś obejściem się z sobą, major słowa już nie mówiąc wyszedł, wzywając Pawła... który mu miał pokazać mieszkanie Sroczyńskiego... Chwiał się na nogach... a oczy miał pełne łez...

— Robert!... co się mogło stać Robertowi! O przekłete miasto!

Sroczyński był właśnie we drzwiach, bo miał wychodzić do pacyenta, gdy major znalazł się na górze... Oba nie widzieli się lat trzydzięci... Długo patrzali na siebie, nie mogąc się poznać — niedowierzając oczom własnym...

— Sroczyński?

— Jazyga?

Po głosie więcej niż z twarzy przypomnieli się sobie...

— Kapitanie — na miłość Boga! — zawołał major — co się dzieje z moim Robertem?... Na progu spotyka mnie wiadomość, że chory?

— Odebrałeś mój list? zdumiony spytał Sroczyński—jakim sposobem?

— Żadnego listu nie odebrałem. Byłem niespokojny—miałem przeczucie — przywlokłem się. Prowadź mnie, gdzie on jest? Zaklinam cię!

Głos jego tak był przenikniony boleścią, tak błagający, że z mieszkania Sroczyńskich wywołał przestraszoną magnifikę i dwie córki...

— Prowadź mnie... na Boga! Cóż to za choroba? czy jest niebezpieczeństwo?

Major łamał ręce, a rozpacz tej twarzy marsowej, w męzkich rysach jeszcze się straszniejszą wydawała — i była gwałtowniejsza, więcej naprężona niż gdy się w słabszych objawia istotach...

— Chodź najprzód do mnie. spocznij — zawołał za rękę go chwytając Sroczyński; nie puszcze cię, póki nie ochłoniesz... Gdybyś tak wpadł do syna, któremu spokojność doktor zalecił jak największą—kto wie jakiejbyś narobił biedy...

Syn chory—ale nie ma nic jeszcze groźnego. ma gorączkę...

To mówiąc kapitan, który wołał od razu nie tając wypowiedzieć wszystko, wciągnął Jazygę osłabłego do przedpokoju. Stary nie idąc dalej, padł tu na krzesło. Lzy mu się toczyły po twarzy. Nie widział już stojących nieznajomych kobiet, zapomniał o świecie całym.

Jedna z panienek, ulitowawszy się nad nim, nie mówiąc, przyniosła mu i podała szklankę wody. Podniósł oczy. i zobaczywszy dopiero te twarze kołbiece, nieznane — przyszedł do siebie... Chwycił dzielwczę strwożone za rękę i pocałował... Drżącemi palcami poniósł do ust napój i wypił go...

-- Darniecie państwo — rzekł — jednego mam syna!!

Nie powiedział więcej, słowa te proste starczyły, zrozumiano go.

Sroczyński tymczasem krztał się około niego...

Bóg da — nic nie będzie chłopcu... ale naturze, która walczy z chorobą nie trzeba przeszkadzać! Pojdzemy, gdy się uspokoisz...

Takie było przybycie majora Jazygi do Warszawy.. Stary, silny jeszcze i nawykły do walki z życiem, niespodzianą wieścią z nóg był zwałony. Długo i kapitanowa i córki jej musiały go uspokajać, pocieszać, zagadywać, nim trochę sił odzyskał. Prosił się, błagał Sroczyńskiego, zaręczał go, że się zachowa spokojnie byle do syna zaprowadził. Kapitan wyczekawszy do brą chwilę, nakoniec zgodził się iść z nim razem.. Poszli.. więc... ale doktor, który był właśnie przy chorym, w przedpokoju ich spotkał i wnijścia zabronił. Major usadowił się u drzwi... I jemu prawie lekarz był potrzebny...

Upłynęły dwa długie tygodnie—przesilenie przyszło i przeszło szczęśliwie... Robert odzyskał przytomność, lekarz ręczył za życie... Z wypełzłą głową, błądy, zmieniony do niepoznania, cień tylko pięknego chłopaka, z oczyma osowiałemi, ze spalonemi usty leżał na poscieli... Ojciec milczący siedział u łóża, tak prawie wychudły i zbolący jak on...

W czasie choroby Roberta, wszystkie papiery, które on na piersiach nosił, odjęto mu... Major je czytał. Wiedział o wszystkim—znał stosunek cały, miał w rękę i gorączkowe listy pierwsze Ady. i ostatni, który o mało mu nie zabił syna.

Nie czas było robić wyrzutów, ani nawet wspominać o tem... Jazyga, któremu ta korespondencya żywo przypomniwała jego własną z żoną nieboszczką, więcej miał litosci nad synem niż żalu do niego.

Wina w jego oczach cała spadała na kobietę, na uwodzicielkę...

Ostatni list i dla niego nie był dwuznacznym — widział w nim rozbrat i zdradę... Choroba Roberta, niebezpieczeństwo, w którym długo zostawał—złamały najsilniejsze postanowienia starego. Teraz gotów się był już zgodzić na wszystko, dumę swą szlachecką poświęcić... byle życie Robertowi ocalić...

Lecz w ciągu długiej słabości Jazygi nie przyszedł list żaden, nikt nie dał życia znaku, pan Karol jakby naumyślnie wyjechał — nie dowiadywano się wcale...

Sroczyński tylko, który się znał z partnerami szambelanowej, mógł im powiedzieć coś o stanie Roberta, a przez nich, szambelanową i pannę Dyakowską wiadomość mogła dojść do Rnszkowa...

Czy doszła tam? wątpić było można. gdyż ztamtąd nie odezwał się nikt, nie dowiedział, nie spytał. Przychoǳący do siebie Robert — słabym głosem dowiadywał się pilno. błagalnie, czy do niego nie było jakich listów? Ojciec, który to z dala usłyszał, przy-

szedł — dając mu żołnierskie słowo honoru, że żadnego listu nie było...

— W życiu mojem — rzekł do syna — nigdy, choćby do dziecka pisanego listu nie rozpieczętowałem — nie przywłaszczyłem sobie. Wierzyć możesz słowu mojemu... Nie było nic.

Zmilczał Robert.

Na drugi dzień prosił ojca, aby się kazał dowiedzieć o pana Karola. Przyniesiono mu oznajmienie, że od tygodnia przeszło wyjechał, i nie wiadomo kiedy powróci...

Wtem głuchem milczeniem — przebył Robert kilka tygodni powolnego do zdrowia powrotu. Gdy chodzić już mógł, jednego rana odezwał się do ojca:

— Jedźmy do domu — ojciec..

Major popatrzył na niego z politowaniem.

— Chcesz tego? jedźmy do domu!

Lekarz sprzeciwił się temu i zalecił jeszcze pozostać dłużej kilka w Warszawie, zwolna się osuwając z powietrzem, ruchem i życiem zwykłym zdrowych ludzi...

Jazyga, który wiele miał dowodów przyjaźni od kapitana — do niego najprzód zaprowadził syna... Posłuszny Robert poszedł... Wesole twarzyczki panien uśmiechały mu się jak pierwszego wieczoru — ale on do tamtego dawnego nie był podobny... Wszyscy, choć mówić mu tego nie śmieli, przerażeni byli śladami, jakie na nim choroba zostawiła. Z łóżka wstał jakby inny człowiek, odrodzony do nowego życia — z twarzą odmienną, z charakterem nawet zmienionym, z obojętnością dziwną i stopieniem umysłu i czucia. Wiele rzeczy nie przypominał sobie dobrze — wiele gdy o nich mówiono, nie zdawał się rozumieć — może nie chciał... Uśmiech po ustach bładził zbladły i nie-naturalny, w oczach zgasły dawne blaski.. Posłuszny jak dziecko, robił co mu kazano... Gdy Misia raz chciała nań patrzeć jak pierwszego wieczoru, zaledwie wzrok jej spotkawszy, Robert się zmięszał, poruszył

niespokojnie. zarumienił, pobladł. i więcej nie podniósł już oczu...

Gdy raz jeszcze powtórzył: „Ojcze — jedźmy do domu!” major musiał pożegnać kapitana. i syna otulwszy w powozie, posepny. prawie łzawy... pojechał z nim do Żabliszek.

EPILOG.

Potrzebujęż epilogu to proste bardzo opowiadanie. a raczej studyum charakteru? Czytelnik z tego cośmy mu wiernie zrysowali z natury. mógłby dosunąć wątku powieści... Czujemy się jednak w obowiązku mu to ułatwić—i dosyć będzie może, gdy jedną jeszcze sceną, w lat dziesiątek potem, dopełnimy obrazu... W życiu nie ma nigdzie końca, jak nie ma początku... spleta się ono jednym ciągiem kolebek i trumien, i wiję, wiję bez ustanku.

W jednym z najpiękniejszych domów przy ulicy Senatorskiej, przechodzący wieczorem, około dziewiątej godziny, mogli się domyślać jakiegoś świetnego balu, rautu lub przyjęcia — tak wszystkie okna pierwszego piętra, z za storów i firanek. rzesistem światłem pałały.

Było to późną jesienią, gdy miasto już się wracającymi ze wsi i przenoszącymi na zimę zapełnia — gdy teatru z odświeżonym występują repertuarem —

sklepy z nowo udrapowanemi wystawami. handle delikatesów z transportami ostryg — a złota młodzież z nowiuteńką garderobą.. W mieście to właśnie pora uciech, zabawy ruchu i wrzawy...

Przed ów dom od godziny dziewiątej zaczynały zajeżdżać powozy, wysiadać panie, ciągnęli piesi... stawały dorożki, a ubodzy mieszkańcy i przekupnie sąsiedni rzucali wrokiem ku szybom.. jakby je ciekawemi oczyma przebieć chcieli... Świeciło z za szyb. to prawda, lecz zresztą dźwięki muzyki nie dawały się słyszeć i kamienica stała poważna a cicha.

O parę domów dalej. w otwartej cukierni, mężczyzna ni młody ni stary nbrany jak na wieczór. w białym krawacie, z parą rękawiczek, które dopiero miał wciągnąć, stojąc — na przedce pił szklankę herbaty z cytryną. Z pod kapelusza, którego nie zdjął, widać było głowę przez dobrego fryzjera, wedle prawideł sztuki wygładzoną, wypomadowaną i podkreconą gdzieśniedzie. Twarz miał ogoloną tak pilnie, iż polyskiwała miejscami.. Z pod krótkiego lekkiego futerka, wyglądały buciki lakierowane zachwycającego kształtu.. Słowem jednym dziwić się tylko było potrzeba, że taki elegant pił herbatę w tak skromnym lokalu. Są czasem w życiu konieczności nieuniknione — gdy się idzie na wieczór na którym się z herbatą spotkać ma po dziesiątej... a pragnienie dopieka! Mężczyzna też, czując się tu może nie na swem miejscu, nie przysiadł nawet, stał, rad był widać co najrychlej dokończyć herbaty. Niekiedy przez okno wyglądał ku oświeconemu domowi, jakby się chciał przekonać czy tam już wieczorne rozpoczynało się życie...

Herbata była gorąca... musiał się więc zrezygnować na trochę cierpliwości, aby nie poparzyć. Właśnie ją postawił na stoliku, chcąc czas ten znżytkować i naciągnąć rękawiczki, które miały piękne kształty ręki jego uwydatnić, gdy drzwi cukierni od ulicy się otworzyły, zadzwoniły i — wszedł niemi mężczyzna siwy, z wąsami poczernionymi, twarzą pomarszczoną...

Był to dawny nasz znajomy kapitan Sroczyński. o tyle tylko zmieniony, że włosów już nie mało-
wał i siwiznę odważnie nosił, wąsy tylko czems ciem-
niejszym szwarcując na pamiątkę, że niegdyś czarne
były. Wszedłszy kapitan odwrócił się spojrzeć ku sto-
jącemu, chwilę się zawahał i uchylił nieco kapelusza.
na co mu też ukłonem śpiesznym odpowiedziano...

— Pan... Karol... jeśli się nie mylę?

— Kapitan Sroczyński?

— Tak jest.

— Bardzo mi miło...

Moment jakiś stali tak, niby nie wiedząc co da-
lej z sobą poczynać mieli.

— Garsen! szklanke groku... chłodny wieczorek...

— Mrozu tylko co nie widać.

— Kapitan zawsze w Warszawie?

— A gdzieżbym się ja podział? Jeśli wyjadę, to
chyba na Powązki—rzekł Sroczyński—a do tej podró-
ży jeszcze ochoty nie mam. choć—wielu mnie tam to-
warzyszów broni wyprzedziło! He! kwatermistrzeli!
Cha! cha! No—a pan dobrodziej?

— Ja? najczęściej w Warszawie. zimą przynajmniej
zawsze... Pan wie, ja jestem stary brnkowiec... Teraz
mi jeszcze przybył dom tutaj mojej kuzynki... panny
Ady Pretwiczówny, który mnie jeszcze bardziej przy-
wiązuje do miasta...

— Słyszałem! słyszałem! dom, w którym się litera-
ci, artyści, muzycy, malarze i piękny świat gromadzi
co czwartki... czy co piątki...

— We czwartki! poprawił pan Karol. W piątek dla
postu, który surowo się w tym domu zachowuje gospo-
dyniby przyjmować nie mogła.

— A to właśnie dziś czwartek... rzekł Sroczyński.

— I ja też, jak pan widzi, rękawiczki naciągam.
A że tam herbata późno... a mnie się pić okrutnie
chciało... No (tu dobył zegarka) i czas jeszcze... Nie
lubię być z najpierwszych...

Sroczyńskiemu przyniesiono grok. z którym usiadł naprzeciw naciągającego mozolnie rękawiczki. On co nosił zawsze dostatnie i przepierane, przypatrywał się z zajęciem temu knusztowi, z jakim pan Karol, którego wielki palec sterczał nie obuty, wychekując kolei—naciągał ciasne Jouvain'y...

— Dalipan! sztuka rzekł kapitan—jabym to podarł w szmaty.

Karol minami i różnemi grymasami twarzy pomagając sobie—nareszcie jedną rękę dokończył...

— Tak tedy—odezwał się Sroczyński—owa piękna niegdys, dowcipna, rozzumna, bogata panna Ada... knzynka pańska... w stanie panińskim zdaje się już chcieć pozostać?

— Zdaje się — rozśmiał się Karol. Jezusowe latka minęły! Miała osobliwy wstręt do małżeństwa... Kilka razy już, już zdała się blizką... nie! strach ją porwał nagły i salwowała się ucieczką.

— A tak! tak! westchnął Sroczyński. wiem ci to ja pewnie tak dobrze jak acan dobrodziej. z powodu historyi mojego zięcia, który tej fantazyi jej o mało życiem nie przypłacił...

— A tak! rzekł obojętnie Karol — Jazyga! pamiętam... Z którąż się z córek pańskich ożenił...?

— Drugą z porządku — odparł Sroczyński — pierwszą wydałem za referendarza X., drugą za niego, trzecią za kontrollera izby skarbowej, czwartą za obywatela ziemskiego Promczyńskiego... mają wieś niezgorzszą,—a piątą się uparła i poszła za literata... Panie Boże odpusć! Jeszcze w dodatku mąż jej ma manię zbierania starych rupieci...

— A Jazyga? zapytał Karol...

— Albo to acindziej nie wiesz jako i ja? rzekł kapitan. Wówczas kiedy go to pono pan sam tu przywiozłeś w nadziei, że panna zjedzie... jak mu palnęła list... dostał tyfusu...

Na tem się skończyło — on tu o mało nie zmarł. a ona się na rok do Włoch wybrała... Podobno mu wyjeżdżając jeszcze coś napisała...

— Mój kapitanie—słowo ci daję, to kobieta sumien-
na: miała być sama nieszczęśliwa i jego uczynić mę-
czennikiem, lepiej że się w czas opamiętała...

— Tak. w czas! mrknął kapitan — po zamienieniu
pierścionków.. a może i...

— Kapitanie!!

— Nie mówię nic.—wszak to kuzynka panska. Ro-
bert że nie umarł. to łaska boża.

— A jednak się później ożenił?

— On ożenił?? Ojciec i ja ożeniliśmy go. — niemal
gwałtem... rzekł kapitan. Ja tego nie żałuję. mąż naj-
lepszy w świecie. Misia go kocha do szalenstwa—ale
on!!...

Od tej choroby—zdaje się. że mu i mózg i serce
wyszło. Biedne, schorzałe człeczysko. Trzeba koło
niego jak w szpitalu koło chorych chodzić. Szczęście.
że dwoje dzieci jest przynajmniej: uchowaj Boże co
na niego, bieda — Misia pociechę z nich mieć będzie.

Pan Karol słuchał ciekawie...

— Od tej pory go nie widziałem! rzekł cicho

— Nie wyjeżdża prawie ze wsi—ojca stracił..

Westchnął Sroczyński.

— No—a pan. rzekł po pauzie—nie ożeniłeś się?

— A! chwała Bogu. nie—wesoło odpowiedział Ka-
rol. Powołania do tego stanu nie miałem nigdy. Tru-
dne zadanie na świecie samemu jeduemu być szczęśli-
wym, co dopiero we dwoje!

Śmiał się Sroczyński.

— Słowo daję. to doskonale powiedziane. Powto-
rzę to magnifice..

— Ja i moja kuzynka Ada—choć różnimy się wielce od siebie — mamy w tym jednym punkcie zupełnie jedno zapatrywanie się. To kobieta!!

— Słyszałem! słyszałem! ależ to przecie jedna ze znakomitości naszych, — dodał Sroczyński — prawią o niej ludzie dużo... Ma być utalentowana..

— A! głowa!! dodał Karol—przy niej gasną i maleją najznakomitsi—czego ona nie umie!

Sroczyński dopiwszy groku. zabierał się do wyjścia — pan Karol nałożył rekawiczkę drugą i także miał wychodzić, wysunęli się więc razem na ulicę, a kapitan przez ciekawosć odprowadził Karola do bramy. w której ścisk był. bo właśnie najwięcej przybywało gości. Szwajcar parady stał na straży. a w głębi widać było oświecone wschody, po których zaproszeni i mający wnijsćie zawsze, spieszyli na górę...

Po większej części byli to ludzie poważni. dużo głów łysych. dużo włosów siwych, ale gdzieniegdzie przemykał się i utrzyżowany blondynek, i taki niepewnego wieku pan Karol. który starym być nie chciał, a młodym nie był. Właśnie na tych oświetlonych wschodach spotkały się dwa egzemplarze tego jednego typu, ów książę, któregośmy tak wyrzekającego na Adę widzieli u Bouquerella i kuzyn gospodyni.

— I książę tu? ha! ha!

— A jakże? Cóż to dziwnego! — rzekł spytany...

— Myślałem. że jeszcze się dąsasz!

— Dawno zapomniałem o przeszłości! odparł książę — dom bardzo miły... Ludzi dużo ciekawych. wierzca i wino wyborne...

— Co to—to prawda! — rzekł Karol; co do ludzi—niemal same sucharki i niedogryzki przeszłości... Wszystko to rozumne. stęchłe, już trochę jedno powtarza jak pozytywki — a no... kiedy pani domu to lubi...

— Przecież i młodzieży coś widać! dodał książę...

— To znowu zielone nadzieje przyszłości, które często zawodzą — rzekł kwaśno Karol... Ona i to lubi—tylko nas, cosmy wystali i dojrżeli w samą miarę...

— Znosi i nas! rozśmiał się książę...

Byli już w przedpokoju ozdobionym wielkiem zwierciadłem, i jak tylko od niego odstępila niemłoda już pani, która poprawiała nieświeży na włosach ubiorek. z kolei książę i pan Karol poszli do zwierciadła skontrolłować swe toalety... U drzwi stało dwóch pięknych lokajów w liberyi aksamitnej — otwarli je i książę wszedł pierwszy do salonu jaśniejącego światłem, pełnego już kobiet i mężczyzn...

Pierwsze prawie wszystkie były w wieku gospodyni domu, niezbyt młode, niektóre jak ona piękne jeszcze... Na dwóch ogromnych stołach widać było stosy albumów i książek, dalej fortepian Erarda. orgue Aleksandra. a w świetle umyślnie skierowanem, na sztaludze z drzewa dębowego, obraz w rzeźbionych ramach weneckich... Był to niedawno zdobyty mały Perugino, którym się jeszcze gospodyni nacieszyć nie mogła.

W niewielkiej odległości od stolika, stała piękna, ale nieco zolbrzymiałych kształtów Ada, w sukni aksamitnej z koronkami, z ową symboliczną gwiazdką na czole. tak jak ją malował baron von Pavianer... Twarz jej nie straciła była jeszcze wdzięku. oczy błasku. ale ideał stał się pięknością ziemską zupełnie, której usta teraz więcej do bifsztyku niż do pocałunków zdawały się stworzone... Kwitło zdrowie na tem spokojnem, ale nie wesołym obliczu. Wpatrzysz się. mimo jego czerstwości i świeżości, można było dojrzeć marszczków, które po sobie zostawiły webrane a niezaspokojone namiętności czy uczucia — gorzące myśli. z których żadna nie rozwinęła się w pełni — pragnienia niezaspokojone. marzenia nie domarżone... Widać było, że jej całe szczęście ograniczyło się

tem, by nie być bardzo nieszczęśliwą — a światu nie pokazać bólu.

Na szerokiem czole za to błyszczała inteligencya i odbijała się w oczach rozzumnych... I tu jednak zajrzawszy głębiej, dostrzegłby badacz "sceptycyzmu, który z rozpaczny dla świata, ubrał się ortodoksyą nieprzebitą... Usta były pobożne—oczy czasem ateizmem się śmiały... Jak w głębi niewiara godziła się z fanatyzmem, któż to zrozumie...??

Ada przyjmowała właśnie swych gości. dla każdego z nich mając słówko. które świadczyło, że stała na wysokości jego i nie była w niczem profanem... Z muzykiem mówiła o muzyce, z malarzem o sztuce, z finansistą o giełdach... umiając pokryć płytkość swą świetnymi wyrazami, za którymi jej widać nie było. Małenkie te tryumfy... karmiły ją.

Nazywano ją czasem encyklopedyą w aksamit oprawną — w istocie była to encyklopedia. w której o wszystkim bywa potrosze. o niczem dosyć, by się nauczyć można...

W kątku kanapy. z rękami na piersiach... prze-rażająco żółta. siedziała panna Hortensya... W większem świetle. na fotelu. z lancuchem i krzyżem na piersi. ksiądz hrabia de Bello.. Szambelanowa chodzila z podwiązaną brodą. podtrzymywana przez pannę Dyakowską szukając rozpierzchłych partnerów do wista... Ta postarzała mocno.. okularów już nie zrzuciła. ręce się jej trzęsły... ale usmieszek młody i wdzięczący się. jeszcze dawną piękność przypominał...

Przy Peruginie, z kapeluszem pod pachą. stał baron von Pavianer. którego zwano nadwornym malarzem Ady... ale był też w kątku i Oblęcki. którego poznać było trudno. tak utył i zaokrąglął... Zwano go profesorem... Zdaje się. że ten tytuł i zajęcie uwalniały go od malowania, co mu było rzeczą bardzo przyjemną... W skromnem ubraniu, zdaleka stała roz-

mawiając z jakąś panią, blada, chuda, zestarzała pani Karolina Oblęcka... Rumieńce jej dawno znikły... oczy miała zmęczone... ślad piękności ledwie na zwiedłej twarzy się błakał...

W salonie i dwóch sąsiednich pokojach osób już było pełno — gdy na progu ukazał się młody mężczyzna, dziwnie twarzą klasycznie piękną przypominający Rafaela, nie takim jak go sztychował Marc Antoine, ale jakim on sam odmalował się w „Szkole Ateńskiej.“

Młodzieniec musiał wiedzieć o tem podobieństwie, bo i włosy miał ułożone podobnie, i usta układał do wyrazu, jaki ma piękna głowa w Uffizi. Strój jego skromny, odznaczał się wielkim smakiem i elegancją. Gdy wszedł, oczy wszystkich zwróciły się ku niemu, a gospodyni rozmawiając z łysym, niskiego wzrostu referendarzem, drgnęła, jakby naprzeciw chciała pośpieszyć. Twarz jej nawet w miarę jak się zbliżał, rozjaśniała się, traciła prozaiczną swą cechę, niby ogniem jakimś wewnętrznym płonęła. Rzeklbyś, że w tem naczyniu marmurowem ktoś lampę postawił...

Mężczyzna szedł wprost ku niej. Zdala już wyciągnęła mu rękę. Referendarz i ci, co ją otaczali... jakby wiedzieli, że ustąpić byli powinni. — pousnawali się wszyscy. Zostało ich dwoje wśród tych grup patrzących na nich z ukosa.

Osobliwie ostre wejrzenie skierowała na Rafaela panna Hortensya, a było w niem szyderstwo, wzgarda, oburzenie.. Zdala się mówić oczyma

— Półgłówkę jesteś!

Kanonik, który raz tylko popatrzał na gościa tego, także dziwnie usta zacisnął. Gospodyni na nie i na nikogo nie zdawała się nważać, uśmiechała mu się wdzięcznie, chciała być dlań piękną, była taką prawie na jedno oko mgnienie.

Choć wiedziała i czuć musiała, że oczy wszystkich zwrócone na nią były—nie zmieszała się tem bynajmniej. nie wstrzymało jej to od bardzo jawnego okazania przybyłym. jak mu była rada, jak mocno ją zajmował.

Pomówiwszy z nim pół-glosem i cicho. zaprowadziła go przed Perugina, przy którym stali długo dopytać, aż przybywający nowi goście, którzy gospodynie powitać chcieli, przerwali tę zajmującą rozmowę.

Krótko i chłodno przyjąwszy ich pani Ada, wróciła do Rafaela, i dopiero skończywszy z nim rozmowę, w której on. z poszanowaniem przysłuchując się jej. mały miał udział—odeszła do innych gości.

Rafael został trochę osamotniony, zadumany. i nie wiedząc co zrobić z sobą poszedł jakies album na stoliku przerzucać. Patrzano nań zdala. trochę zazdrosnie, wpół szydersko. Ada też. choć zajęta innymi. nie spuszczała go z oka.

— Proszę cię — odezwał się książę do pana Karola — ty, co tu jesteś jak domowy. czy nie raczysz mnie objasnić. kto jest ten młodzieniec długowłosy. którego gospodyni zaszczyścić raczyła tak szczególnie łaskawem przyjęciem?

To jest — malarz wielkich nadziei! — rzekł Karol, który w tej chwili nspособiony był złośliwie, bo Ada zaledwie mu głową kiwnęła. Mamy tu takich geninszów en herbe kilku. w różnych rodzajach. Pani nasza. która mnie pielegnować rośliny. Inbi też zajmować się wychowaniem młodzieży. Cznje się do tego powołaną. Nie trzeba tylko brać tego en mauvaise part; jest to kobieta. na którą najzłośliwsza potwarz nawet nie wymysleć nie zdoła. Dała dowody w ciągu życia. że żadnym tentacyom nie jest przystępna.

— A mimo to... — uśmiechnął się książę

Mimo to—dodał Karol Inbi studia. nad ludźmi i charakterami! Każdy taki młodzieniec obudza

w niej zajęcie... bada go, pomaga pączkowi. aby się mógł rozwinąć...

— Imbi pączki! — szepnął złośliwie książę.

— Powiadam W. Ks. Mośli—z powagą odrzekł Karol — że w tem nie ma nic zdrożnego, uie nad psychologiczną ciekawość. Spytajcie panny Hortensyi... ta, gdyby mogła... pewnieby na nią coś wymyśliła... Jak wiele naszych pań, i ta kochana Ada — daje często kroć powody do posądzeń, zupełnie nadaremnie! Przyznaję się, że co do mnie, sympatyczniejsząby ją znajdował, gdyby więcej w sobie miała niewieskiej słabości... gdyby była ułomną istotą.

Wejrzeniem, którego znaczenie trudno określić, mierzył książę pana Karola, zamilkł, i lornetkę przystawiwszy do oka, począł się przypatrywać towarzystwu...

Czy go istotnie gospodyni interesowała, czy dramatycznej tylko szukając rozrywki, książę po chwili zbliżył się do panny Hortensyi. Była to jego dobra znajoma i przyjaciółka z tych czasów, gdy się jeszcze starał o Adę — okazywała mu nawet naówczas wiele sympatyj, którą w części tytnłowi swemu zawdzięczał. I teraz przywitała go panna Hortensya tem wdzięczniej, że siedziała osamotniona bo wszyscy od niej uciekali.

— A! i książę tutaj! — odezwała się szydersko. — Et l'on revient toujours... Uśmiechała się podnosząc oczy ku niemu.

Książę ramionami ruszył.

Dawne to dzieje! — rzekł — miałem czas ostygnać w piersi się nderzyć.

Ale niechże książę siada - zawołała Hortensya, wskazując blizkie krzesło.

Gość skłonił się, i — rad nie rad, zajął miejsce przy niej. Hortensya pochylona nieco ciągnęła dalej:

Przypomnij sobie książę — owe czasy... Sames sobie winien... nie wytrwałś, nie kuleś żelaza póki

gorące, nie znałeś Ady... A! byłoby wszystko inaczej, gdybyś mnie posłuchał...

— Ja też nie żałuję tego co się stało...

— Dla czego?

— Z trudnością byłbym się mógł zastosować do życia i gustów pięknej Ady... — nadto lubi artystów — rzekł książę.

— A! rozśmiała się panna Hortensya — wierz mi *cela ne tire pas en consequence...* fantazyje ma, tak jak do kwiatków... Potrzebuje dystrykcji... a że mówią, małżeństwo jest bardzo silną, pochłaniającą—innychby już nie szukała...

— Teraz widzę malarz jakiś jest na placu — rzekł książę.

— Wczoraj był poeta, jutro będzie rzeźbiarz... a pojutrze — *que sais-je?* kaznodzieja...—mówiła Hortensya.—Raz tylko w życiu widziałam ją — w niebezpieczeństwie!

— W niebezpieczeństwie? — zapytał książę niedowierzająco.

— Tak jest... Było to przed laty dziesięciu — mówiła cicho i poufnie panna Hortensya. — *Caprices du sort!* na ten raz nie był to ani genialny artysta, ani sławny poeta, ani znakomitość żadna, ale prosty, prawda że bardzo przystojny, naiwny, dobry sobie chłopak, nawet z niezbyt otwartą głową... Była to jej pierwsza i ostatnia miłość, od której cudem ocalała została... Kochała się w nim — aż do kompromitowania... drżałam o nią,—szczęściem młodzieniec był skromny, bojaźliwy i więcej miał poszanowania niż pa-sy... Szczęściem też ojciec jego był przeciwny...

Cierpiała, walczyła z sobą, płakała... Lecz wszystko się składało, aby ją ocalić... niezgrabność tych, co jej pomagać chcieli, szczególnie. Duma właściwie ocaliła ją... Pojechała na rok cały dla studyów

artystycznych do Włoch... i wróciła nleczona... Została może tylko tęsknota po tej jedynej w życiu miłości.

— A ów szczęśliwy młodzieniec?

— Prawdziwie dobrze nie wiem co się z nim stało. Słyszałam tylko, że odepchnięty, zachorował niebezpiecznie i ledwie mu życie ocalono... Choroba miała go pozbawić całego młodzieńczego wdzięku — przybiła go na umyśle... złała. Ojciec go podobno ożenił z jakąś szlachcianeczką...

Księżę, który słuchał z zajęciem — zapytał ciekawie:

— Byłże tak piękny? czem się jej umiał podobać?

— To doprawdy tajemnica! Przystojnym był zapewne — mówiła Hortensya — lecz nie tak nadzwyczajnego nie miał w sobie. Odznaczała go tylko prawie dziecięca, niemal śmieszna prostota i naiwność. Jak piesek się jej w oczy patrzył — milczący ją słuchał... na kolanach...

Uśmiech przebiegł po ustach słuchającego.

— I doszło to tak daleko, że aż do wyznań i przyrzeczeń? — szepnął...

Panna Hortensya figlarnie głową pokręciła; chciała się może uśmiechnąć, lecz skrzywiła się tylko... Schylona prawie do ucha księcia szepnęła mu:

— Doszło to tak daleko... że chodzili z sobą sam na sam na spacer, bardzo czułą parą...

Brwi podniósł księżę ..

— Ale Ada jest rozumną i panią siebie — dokończyła Hortensya — z tego kielicha kwiatu spiła tylko woń wiosenną!...

Milczeli jakiś czas... księżę patrzył przez lornetkę.

— I jakże się to skończy? — rzekł od niechcecia — bo... różne bywają epilogi takich dramatów dziewiczych. Czasem, niekiedy dziwaczne bardzo...

— Ja się żadnej już niespodzianki nie spodziewam. U Ady serce się do głowy przeniosło; będziemy zbierali dzieła sztuki, drukowali budujące książki, ufundujemy instytut wychowawczy... Cóż książkę chcesz? nie lepiejże to niż pójść za męża nic do rzeczy i kłopotać się z dziećskami? W ten sposób pozostajemy do końca w zaczarowanym kole poezji i ideałów.

— W każdym razie egzystencja to zupełnie wyjątkowa! ekscentryczna...

— Spodziewam się! — potwierdziła Hortensya — a może też nam o to szło, abysmy z pospolitych życia warunków się wybili.

Szmer otaczających nie dozwalał dalszej rozmowy... Zamknął książkę, a panna Hortensya spoglądała po przepelnionym salonie, którego honory gospodyni robiła z wprawą i zręcznością niepospolitą. Wszystkie niemal powołania wyższe były tu reprezentowane... Składały się grupy wedle powinowactw duchowych. i w każdej z nich żywa się toczyła rozmowa. Ada przechodziła z jednej do drugiej, nigdzie nie będąc obcą — wszędzie jej słowa słuchano z poszanowaniem. a umiała je zawsze uczynić zajmującym. Dziwowano się szczególnie, że najnowsze zdobycze naukowe, najświeższe dzieła, najzawilsze kwestye bieżące — znała, jakby się każdej z nich specjalnie poświęcała.

— Zadziwiająca kobieta! odezwał się po odejściu jej łysy referendarz do wykrygowanego szambelana — zacytowała mi prawo kanoniczne w kwestyi rozwodowej!

Szambelan kichnął — było to jakby potwierdzeniem uznania znakomitych zalet umysłu gospodyni... Tymczasem Ada przesuwiała się pomiędzy gośćmi, zatrzymując tu i owdzie na chwilę. Swobodę, z jaką poruszała najrozmaitsze przedmioty. nie okazując się znużoną. istotnie uwielbiać potrzeba było...

W drugim pokoju, w którym osób mniej było, towarzystwo składało się z takich szczególnie, co uni-

kały stanąć na pierwszym planie, i wołały schować się do cichego kąta — siedziała na krześle przy karnapie, z bladą twarzą zadumaną Karolina. Widać było po niej, że przyszła tu z rozkazu nie dobrej woli że jej było obco i nudno — że czekała może tylko przyzwoitej godziny, aby się oddalić mogła...

Ada obszedłszy gości, zbliżyła się nareszcie do niej i usiadła.

— Dziękuję ci — Karusiu moja — żeś przyszła choć raz — rzekła; — mniem to ocenić. Ty wolisz w domu i z dziećmi... a tu, nic ciebie nie zabawi.

— Owszem — wszak samo widzenie ładnego starego obrazu. .

Ada się uśmiechnęła...

— Zdaje mi się, że ciebie sztuka obchodzi dla tego tylko, że jest powołaniem męża twojego. Ty wszystko odnosisz do niego... Szczęśliwa!

Szyderski niemal nśmiejch pokazał się na twarzy Ady, która podparta na rękę, patrzyła z uwagą na Karolinę, jakby tajemnicę jej życia i szczęścia dobyć z niej chciała...

— Tak... jestem szczęśliwa — odpowiedziała jej Karolina, — szczęśliwa mimo ubóstwa. szczęśliwa mimo niepowodzeń wielu. szczęśliwa gdy płaczę nawet. Kochałam raz w życiu, byłam i jestem kochana. . Dla tego, droga kuzynko — przebacz mi, że to powiem — wiecznie będziesz gonila za czemś, szukała czegoś, czuła się niespokojną i nięspokojoną... boś sercu swojemu nie pozwoliła się otworzyć — boś przeznaczeniu kobiety nie odpowiedziała! Będziesz znakomita, sławna, wielbiona — ale nie będziesz — szczęśliwa...

Ada obrażona poruszyła się żywo.

— Cóż to za szczęście wasze? pajęczyna, którą lada wiaterek zrywa; kwiatek, co kwitnie dzień jeden...

— Tak — ale woń jego zostaje na życie całe — dodała Karolina... Miłość dla męża rozrosła się gałązka-

mi zielonemi w macierzyńską dla dzieci... Kocham.. żyję.. ty się bawisz i patrzysz na życie..

Spojrzała na Adę Karolina, i zobaczyła ją wspartą znowu na rękę, z głowę spuszczoną, z brwią nachmurnioną—niby gniewną, a w istocie smutną i poruszoną. Nie mówiła już nic, w rękę czarny wachlarz swój rozkładała i ściągała bezmyślnie... Odwróciła oczy od Karoliny, i nagle zerwanej rozmowy już dalej ciągnąć nie chciała.

Oblęka też nie odezwała się więcej; siedzieli przy sobie czas jakiś tak, żywym kontrastem egoizmu i poświęcenia. Jedna różowa, pulchna, świeża jeszcze, choć znacznie starsza, druga na pół zwiędła, blada i zmęczona—jedna w dostatkach i świetnem otoczeniu czująca się osamotniona bez węzła ze światem, druga spokojna mimo powszedniej troski i żywotem rodziny rozrosła na duchu...

W milczeniu podała jej Ada rękę i ścisnęła dłoń Karoliny...

— Moja droga, rzekła głosem zmienionym — masz słusność. Któż wie! źle może pojęłam życie... a sama straciłam na tem najwięcej. Dziś już cofać się niepodobienstwo... дума nie pozwala, serce pragnąć przestało... Tą ciernistą drogą żywota trzeba iść do końca... Inni mi będą zazdrościli—a ty—ty mnie pożałuj czasem!

Schyliła się, pocałowała ją w czoło, i wnet przybierając weselszą twarz, poszła znów między swych gości, roznosząc im słowa i myśli, tak jak jej służba roznosiła chłodniki i ciasta...

— Szczęśliwa kobieta! słowo daję! mówił referendarz do szambelana.—Swobodę, rozum, dostatki — miłość wszystkiego co piękne... umysł sięgający wysoko... szacunek ogółu... wszystko ma... Szczęśliwa kobieta!!

— Bez kwestyi — odparł szambelan, nie wiedząc o czem była mowa... niezawodnie!!

Z drugiego pokoju oczy Karoliny szły za gwiazdą brylantową na czole Ady, a twarz wyrażała serdeczne politowanie—i w duszy mówiła sobie:

— Nieszczęśliwa kobieta!

Kto z nich miał słusznosc? osądźcie — ja, nie wiem.

Genua — Drezno.
1876.

K O N I E C.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 2



JIK0002